

BLUSZCZ

*społeczno-literacki ilustrowany
tygodnik kobiecy*



W a r s z a w a,
S o l e c 87

„BLUSZCZ“

społeczno-literacki tygodnik

czołowy organ prasowy
kulturalnych sfer kobiecych

telefon 2-44-18.

W a r s z a w a,
pl. Z a m k o w y 9.

telefon 2-39-40.

Redaktorzy: *STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW* (naczelnia) i *MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW*
Dział robót pod kierownictwem *JADWIGI KORZENIOWSKIEJ*
Dodatek „Wychowanie i szkoła” pod kierownictwem *WANDY BORUDZKIEJ*
Redakcja i Administracja: Warszawa — Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-05.

KLISZE WYKONUJĄ WŁASNE ZAKŁADY FOTO-CHEMIGRAFICZNE.

Treść numeru

Bezrobocie a prowincja — *Stefanja Podhorska-Okolów*. Poczcie: Przechodzień — *Janina Brzostowska*. Albert, król Belgji — *H. N.* Jak być szczęśliwym w małżeństwie — *Magdalena Samozwaniec*. O człowieku, który spadł z księżycy — *Wanda Woytowicz - Grabińska*. Dawne, bojowe szlaki — *J. K. Maciejewski*. Prawo w życiu codziennym: Ubezpieczenia społeczne — *Krystyna Westerska*. Z teatrów — *S. P. O.* Z ubiegłego tygodnia — *H. N.* Z życia ekranu — *Stef. H.* Kobieta w świecie i w domu. Ogrodnictwo i hodowla: Karczochy — *Marzenna Saryusz-Stokowska*. Tuzenie drobiu — *Marzenna Saryusz-Stokowska*. Odpowiedzi działu ogrodnictwo - hodowlanego — *M. S. S.* Dom i gospodarstwo: Wyrób mydła — *Marja Łepkowska*. Woda — *Wanda Dobrzańska*. — Przepisy gospodarskie — *Melba*. Mody i roboty.

WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie—45 zł., kwartalnie—13.50 zł., rocznie—54 zł.
Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. Zmiana adresu — 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszcza” — Warszawa, Solec 87 i pl. Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — WARSZAWA Nr. 3700.

W y d a w c a : Tow. Wydawnicze „Bluszcza”, Sp. z ogr. odp.

Pracownicy umysłowi korzystają z 20% ustępstwa.

WARUNKI OGŁOSZENIOWE:

	zł.		zł.	
$\frac{1}{1}$ str. tekstu	— 700.—	Okladka III-cia	$\frac{1}{1}$ str. okł. — 500.—	
$\frac{1}{2}$ „ „	— 400.—		$\frac{1}{2}$ „ „ — 250.—	
$\frac{1}{4}$ „ „	— 200.—		$\frac{1}{4}$ „ „ — 150.—	
$\frac{1}{8}$ „ „	— 100.—		$\frac{1}{8}$ „ „ — 80.—	
$\frac{1}{16}$ „ „	— 50.—		$\frac{1}{16}$ „ „ — 50.—	
$\frac{1}{32}$ „ „	— 50.—	$\frac{1}{32}$ „ „ — 50.—	Okladka IV-ta	$\frac{1}{1}$ str. okł. — 600.—

Przy ogłoszeniach seryjnych prosimy o żądanie ofert.

Ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń w kraju i zagranicą, oraz biuro Tow. Wyd. „Bluszcza” — Warszawa, Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-05. Cena artykułów reklamowych w tekście wedle specjalnej umowy.

Tygodnik „BLUSZCZ” ze względu na swoje liczne i szerokie sfery czytelniczek, jest doskonałym organem reklamowym dla wielu artykułów z dziedziny zainteresowań kulturalnej kobiety.

Czytelniczki „BLUSZCZU” powinny nabywać tylko te towary, które zaleca im ich ulubione czasopismo.

Przegląd

SPOŁECZNO-LITERACKI
ILUSTROWANY
TYGODNIK KOBIECY

BEZROBOCIE A PROWINCJA

Pauperyzacja inteligencji jest już faktem dokonany. Stoimy obecnie oko w oko z grozą jej częściowej zagłady, wobec wzrastającego z każdym rokiem bezrobocia pracowników umysłowych.

Posłuchajmy na chwilę wymowy cyfr. W r. 1929 liczba bezrobotnych pracowników umysłowych wynosiła 65.000; w r. 1930 — 88.000; w r. 1931 — 108.000; w r. 1932 — 121.000; w lipcu r. 1933 — 127.000; w październiku r. 1933 — 135.000.

Cyfry te podał w swoim biuletynie lutowym młody, bo dopiero od kilku miesięcy istniejący, ale niezwykle czynny i ruchliwy Instytut Oświaty Pracowniczej.

Zgodnie jednak z danymi, zawartymi w tymże biuletynie, podkreślić należy, że ta cyfra 135.000 bezrobotnej inteligencji nie jest kompletna, gdyż uwzględnia jedynie pracowników umysłowych zredukowanych. Uzupełnić ją należy liczbą mniej więcej 40.000 młodzieży, która po ukończeniu szkół w ciągu ostatnich kilku lat nie znalazła do tej pory zatrudnienia.

Sytuacja katastrofalna, tembardziej, że okazało się, iż wśród bezrobotnych znajduje się około 60.000 osób, które z powodu braku kwalifikacji zawodowych nie mają wogóle szans uzyskania pracy w dotychczas przez siebie praktykowanych zawodach nawet w czasie przełamania kryzysu i poprawy ogólnej sytuacji gospodarczej.

Na tych 60.000 mści się niewątpliwie nasz chorobliwy dyletantyzm. Zawiele mamy ludzi, którzy „mogą robić wszystko“, a naprawdę dobrze nie umiają robić niczego, tych zawodowych „omnibusów“, wykolejających się nietylko na zakrętach, ale na równej drodze każdego przeciętnego fachu. Otóż tym właśnie jednostkom, żerującym dawniej szczęśliwie lub mniej szczęśliwie na własnych dobrych chęciach i wyrozumiałości innych, grozi nieuchronne zawieszenie w próżni. Wyrzuca ich poza nawias prawo walki

o byt, prawo selekcji, prawo pierwszeństwa kwalifikowanych przed niewykwalifikowanymi. Ich los wymaga niewątpliwie czujnego wniknięcia i ingerencji czynników państwowych i społecznych; wyczerpanemu bezpłodną walką o chleb organizmowi dyletanta należy się fachowa regeneracja. Dla tych właśnie niewykwalifikowanych inteligentów Instytut Oświaty Pracowniczej organizuje kursy zawodowe, a mianowicie projektowane są w najbliższym czasie kursy: 1) dla akwizytorów, 2) dla dekoratorów okien i wnętrz sklepowych, 3) dla przewodników turystycznych.

Jest to, rzecz prosta, paljatyw, doraźny środek ratunkowy, nie zaradczy, tamujący niejako odpływ krwi, ale nie usuwający przyczyn choroby. Jako czynna próba zwiększenia stanu zatrudnienia pracowników umysłowych, zasługuje na jak najżywsze rozpowszechnienie i poparcie.

Co tu wiele gadać! Prawo do kariery może mieć nie każdy, ale każdy obywatel ma prawo do życia. Wobec tego aksjomatu bardziej jeszcze niepokojącym musi wydać się fakt, że co rok spośród młodzieży, opuszczającej mury szkolne z dyplomem, z pełnymi kwalifikacjami, 10.000 jest zgóry skazanych na bezrobocie. Pomyślny tylko: dziesięć tysięcy młodych istnień, z których każde strawiło przynajmniej dziesięć lat na wytężoną pracę umysłową, których rodzice czy opiekunowie ulokowali w ich wykształcenie pewien kapitał materialny i moralny, rzuconych na pastwę niedostatku, depresji, głodu duchowego, neurastenji i rozpaczki. Co za bajeczny materializm wybuchowy i destrukcyjny! I znowu kadry tych lekarzy, inżynierów, prawników, którzy gotowi są „robić wszystko“ wobec widma głodu. Stukać na maszynie, gigolować na dancjach, zbierać ogłoszenia, sprzedawać pocztówki na ulicach, pisać podania. Legjon kandydatów na głodomorów, wykolejeńców, zdeklasowanych inteligentów, męczenników koniunktury, na ofiary wyzysku, na wiecznych malkonten-

tów, przyszłych nierobów, na rozsadników społecznego fermentu. Zdewaluowany przed czasem kapitał młodości! Czy może być coś bardziej tragicznego?

A zatem jeszcze raz nadprodukcja inteligencji? I tak i nie. Wiemy, jakie straszne spustoszenie szerzy wśród młodzieży obojga płci nagminny, często bezmyślny pęd do wyższych zakładów naukowych, pęd, który mści się nieraz okrutnie na całym jej przyszłym życiu. Wiemy i to, że zaledwie drobny odsetek młodzieży, wypełniającej w pierwszym roku aule wyższych uczelni, stanowi materiał, nadający się do studjów naukowych, a i w pośród tej, która te studia ukończyła, trafiają się często jednostki, zdumiewające nie tylko całkowitem nieprzystosowaniem do życia, ale i karygodną ignorancją. To wszystko prawda. Ale istnieje jeszcze i druga strona medalu: sprawa terenu operacyjnego po ukończeniu studjów. Choroba owczego pędu nie kończy się z chwilą otrzymania dyplomu. Jak przedtem ambicją każdego młodzieńca był uniwersytet, tak teraz sprawą życia i śmierci staje się dla niego praca w stolicy.

Prowincja może się leczyć u felcerów i znachorów, szukać porady prawnej u pokątnych doradców, ale młody lekarz, czy adwokat woli głodować w stolicy całe lata na stuzłotowej pensji, bez możliwości ludzkiego mieszkania, życia kulturalnego i towarzyskiego, nie mówiąc już o założeniu rodziny, dokarmiać się nadziejami na świetną karierę, niż zarzykować śmiałą pionierkę na prowincji. Jako ilustrację tego znamiennego objawu przytoczono nam ciekawy fakt. Do jednego z miasteczek prowincjonalnych aptekarz miejscowy postanowił sprowadzić lekarza. Próby skończyły się fatalnie. Pierwszy sprowadzony lekarz czempredzej zwiął, skoro dostał lepszą posadę, drugi „wznił się“ gdzieś w okolicy i porzucił praktykę, a trzeci po kilku miesiącach nie wytrzymał i uciekł do stolicy. Poprostu uciekł. Od zastawionego suto stołu na głód, na poniewierkę, na niepewność (jutra. Dławił go marazm prowincji. Głód duchowy jest straszniejszy od głodu fizycznego. I trzeba sobie zdać z tego dokładnie sprawę, że ksiądz proboszcz, burmistrz, doktor, aptekarz, sędzia i komisarz policji to wprawdzie aż za wiele na partję brydża, dosyć na dwie zwalczające się wzajemnie partje polityczne, ale często za mało, aby stworzyć jedno żywe środowisko kulturalne.

Myśl, rzucona na konferencji prasowej I. O. P., śmiała i zdrowa myśl przeszczepienia zrazów stołecznej inteligencji na prowincjonalne dziczki, wymaga jednej pozornie drobnej, ale istotnej rzeczy: stworzenia atmosfery. Bez właściwego klimatu najszlachetniejszy szczerp zdziczeje. Młody entuzjasta w oparach prowincjonalnego gnuśnego ciepła i zastój wprędce porośnie tłuszczem oportunistów. Postawiwszy krzyżyk na swej karierze naukowej, rychło przekreśli wszelkie inne aspiracje, prócz pospolitego groszorbstwa. Nie każdy urodził się na Judyma, nie każdy nosi na czole stygmat misjonarza, społecznika i pioniera. A zresztą odporność człowieka ma swoje granice. A nic tak nie wciąga, jak bagno. To niekoniecznie ma być bagno moralne. Pod tym względem kto wie, czy prowincja nie stoi wyżej od stolicy. My-

ślę tu o tym gruncie usuwającym się z pod nóg, o braku duchowej odskoczni, o tej najniebezpieczniejszej z dróg, o drodze najmniejszego oporu. Mówi się pięknie o tem, że prowincja oddała stolicy swoich najlepszych synów, że odwrotnie, prawem wzajemności, stolica powinna ją zasilić zastrzykiem świeżych sił. To brzmi prześlicznie, ale wygląda gorzej.

Niema nic okropniejszego i bardziej zabójczego, niż samotność duchowa. A właśnie pastwą takiej samotności może się stać młody pracownik umysłowy, przerzucony nagle z pulsującego serca kraju na jego peryferje, w zwolnione tempo wydarzeń, w stojącą wodę, gdzie gniją serca i mózgi. Może był głodny w stolicy, ale miał gazety, kino, teatr, zebrania, konferencje, odczyty, kontakt z postępem ogólnym i zawodowym, w najgorszym razie ulicę, kipiącą ruchem w dzień, pałającą światłami wieczorem. Żył, albo mu się zdawało, że żyje, a to złudzenie tak często starczy za rzeczywistość... A tutaj co? Czasem jakiś zebranie polityczne, jakiś wędrowny teatr, czy koncert dobroczynny. Na codzień podłe kino; a zresztą brydż...

A zatem położenie bez wyjścia? Bo skoro nawet głodem nie można zmusić ludzi do wyjazdu na prowincję, to sprawa przegrana. Niezupełnie. Okazuje się bowiem, że inteligent to jest takie dziwne stworzenie, w którym zawsze pokutuje widmo społecznika. Można się odwoływać do jego interesów materialnych — będzie głuchy, jak pień, ale skoro zapukasz do jego obywatelskich uczuć, oho! już się odezwie biedne, zmęczone, inteligentkie serce. To słowo: „sprawa“, „posłannictwo“ ma jeszcze magiczny wpływ na pewien gatunek ludzi. Najchroniczniejszego głodomora podniesie na nogi.

Ale nie można tem słowem szafować nadaremnie. Nie wolno dać człowiekowi w rękę kaganek, kazać mu „iść naprzód i świecić“, a jednocześnie odciąć dopływ oliwy. I kaganiec zgaśnie i nosiciel światła się zgubi. I idea i człowiek pójdą na przepadłe.

Jest dwojaki sposób zapobiegnięcia temu niebezpieczeństwu. Jeden to umożliwienie owym pionierom prowincjonalnym stałego kontaktu ze środowiskami kultury drogą ulgowych przejazdów, tanich pobytów w stolicy na konferencjach, zebraniach dyskusyjnych, kursach uzupełniających. Drugi to wysyłanie na prowincję nie pojedynczych działaczy, ale grup, kolumn pracowniczych, któreby stanowiły jednocześnie taki żywy i promieniujący rozsadnik kulturalny. Chodzi tylko o to, aby nie wpaść w drugą ostateczność, w samowystarczalność towarzyską i ideową takiej kolonii przybyszów, pociągającą za sobą bezwzględna izolację od żywiołów miejscowych, co już najwyraźniej chybiałoby celowi. Przypomnijmy sobie tych emigrantów, co to siedząc po dwadzieścia lat w Paryżu, nie mieli sposobności nauczyć się mówić po francusku. Nic dziwnego, skoro obracali się tylko w kole rodaków. Ten fakt niech będzie ostrzeżeniem dla przyszłych misjonarzy prowincji. Żeby trafić do jej serca, trzeba mówić jej językiem.

Zanim jednak ten projekt tak lub inaczej się urzeczywistni, pozostaje do załatwienia sprawa najbardziej paląca.

Rozszerzyć stan zatrudnienia pracowników

umysłowych na tereny, dotychczas przez nich nieopanowane. Pierwszym krokiem będzie zebranie odpowiednich informacji. W tym celu Instytut Oświaty Pracowniczej rozpiął ankietę, którą poniżej podajemy, prosząc gorąco nasze Czytelniczki, aby zechciały wziąć w niej udział, adresując odpowiedzi do redakcji „Bluszczu”, z zaznaczeniem na kopercie „Ankieta pracownicza”.

Odpowiedzi skierowywać będziemy do I. O. P., a najciekawsze i najbardziej rzeczowe z pośród nich umieścimy w „Bluszczu”.

A N K I E T A.

1) Czy możnaby jeszcze zatrudnić pewną liczbę fachowców Pani zawodu:

a) przy pracach dotychczas powszechnie stosowanych,

b) w zajęciach nowych (i jakich?).

2) Czy mogłaby Pani wskazać projekt (gospodarczo uzasadniony) zatrudnienia przy możliwie małych środkach, jak największej liczby pracowników umysłowych w innych (i jakich?) dziedzinach pracy i czy projekt ten rozciągałby się na teren całej Polski, czy też na jej część (i jaką?).

Zaznaczyć należy, że celem ankiety nie jest zebranie wiadomości, że w takim to a takim miasteczku potrzebny jest doktor, a w takiej wsi pisarz gminny, choć i te informacje są b. cenne dla poszukują-

cych zajęcia, ale raczej zdopingowanie pomysłowości indywidualnej w zakresie organizacji pracy i znalezienia nowych jej źródeł.

Stefanja Podhorska-Okolów.



JANINA BRZOSTOWSKA

PRZECHODZIEN

Nie widzi nic ten mieszczuch
przechodzący ulicą,
nie wie, co się dzieje dokoła,
jakie wieści krążą stolica.

Idzie prędko — nie chce widzieć tych rąk,
mocygniętych, zziębniętych palców,
co ściskając tani towar, drżą
pod murami ulic i placów...

Wzrok odwraca od kaleki bez nóg,
co na rogu gazety sprzedaje,
zaraz jednak, tuż, przy bramie drugiej
dziecko przed nim, żebrząc głośno, przystaje...

Nie chce jednym spojrzeniem obdarzyć
życia, które podnosząc się w brzegach,
rozbiera buntem milionów tych twarzy,
których rozroku nigdy nie dostrzega.

Więc już w gniewie — co za pech! — narzek
— brak w tem mieście przyzwoitych twarzy
tłum szumowin otacza człowieka,
a ulice — przytulki nędzarzy!

Lecz nie lubi przejmować się dłużej,
znów w nastroju oblicza pogodnym,
jak zarobić — jak sprzedać — jak użyć —
inni niechaj pomyslą o głodnych!

Nie zrozumie, nie pojmie nic więcej,
cóż obchodzą go głód, nędza czyjaś,
mocygnięte „takich ludzi” ręce
trzeba prędko, zdaleka omijać...

ALBERT, KRÓL



POGRZEB KRÓLA ALBERTA.

Widok wnętrza kościoła św. Guduli w Brukseli podczas przygotowań do pogrzebu królewskiego.

KRÓL ALBERT JAKO ALPINISTA.

Król Albert był zapalonym alpinistą. Na zdjęciu widzimy go w towarzystwie dwóch przewodników włoskich na wycieczce w Dolomitach.



Prasa całego świata, oderwawszy się na chwilę od spraw bieżących, od tych gniewnych, niezmiernie niepokojących spraw polityki, zapelniała swoje drukowane strony wspomnieniami pośmiertnymi. Zmienił się odrazu styl, język i forma tych szybko konstruowanych artykułów i nagle, bez porozumienia, porozumiano się w ocenie tego świetnego człowieka, który był królem belgijskim.

Powojenna Europa, choć burząca się zawiściami, albo zatroskana o każdy powszedni dzień, znajduje jednak niekiedy czas na rozpamiętywanie wydarzeń światowej wojny. Czyniło się to dla rozmaitych celów i tendencji, nadawało się też różną barwę przyczynom i skutkom wielkiej wojny. To przecież nie ulega żadnej wątpliwości, że nikt tą wojną nie „pokrzepiał” serca współczesnych. Więc też na marginesie tylko, albo chyłkiem i wstydliwie wymawiano słowo, które tak ściśle związane jest z wojną — bohaterstwo.

A jednak, mimo wszystko, w krajach, objętych wojną światową, oddano cześć bohaterom symbolem grobu Nieznanego Żołnierza. Uogólniając w ten sposób wojenną zasługę, nie wyniesiono indywidualnych zasług, aby szary, bezimienny żołnierz mógł zajaśnieć w sławie. Tymczasem ta sława właśnie odnajduje nazwiska, aby, jak zawsze bywało, personifikować siebie w czynie i w legendzie.

Dlatego też Belgja, jako że pierwsza w wojnie światowej doświadczyła wzniosłości bohaterstwa, bez wahania wskazała imię tego, któremu bezsprzecznie należy się historyczna sława i pamięć. Wskazała na swojego króla, Alberta I.

Stało się to samorzutnie, ponieważ wynikało z prawdziwości faktów. Wielki pisarz belgijski, Maurycy Maeterlinck, pisał o tem już w grudniu 1914 roku w „Le Journal” (cytujemy te słowa Maeterlincka z pięknego artykułu M. J. Wielopolskiej, umieszczonego w „Kurjerze Porannym” z dnia

20 lutego b. r.): „Ze wszystkich bohaterów tej potwornej wojny, którzy przetrwają w pamięci ludzkiej, najczęstszym i najdroższym będzie napewno ten wielki, młody król mojej ojczyzny. On jeden potrafił w ramach nagłego i oślepiającego piękna wcielić wolę swego narodu. On był tym czynnikiem, który objawił Belgję jej samej i światu. Oczywiście, że i bez niego Belgja zostałaby lojalną i wierną danemu słowu, a rząd, któryby próbował oponować, byłby zmieciony przez oburzenie ludu, który nie zna zdrady. Ale byłoby straszliwe zamieszanie wśród spiorunowanych, byłyby dysputy, manewry fałszywe, nieudane próby, zrozumiałe, lecz nieodwołalne. Ale nie zostałyby wyrzeczone słowa

BELGJI

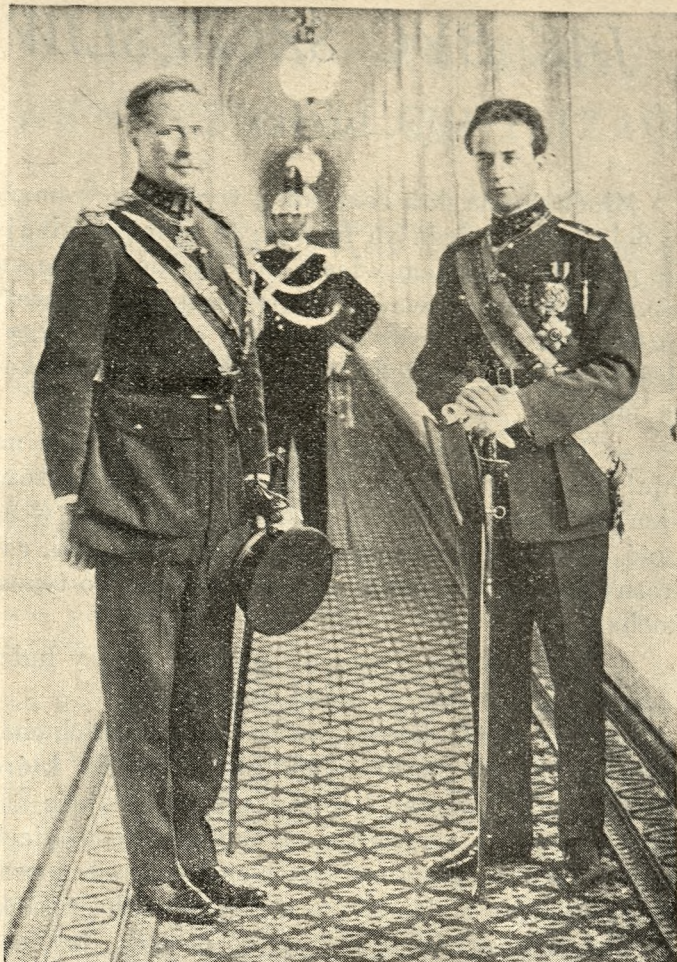
twarde i nieugięte, gesty zdecydowane i dumne nie byłyby wykonane w odpowiedniej godzinie. Dzięki królowi zaś czyn wybuchu i trwa bez retuszu, bez omdleń, bez skazy, linja heroizmu stała się prosta i jasna, jak ta pod Termopilami, w nieokreślonym jednak przedłużeniu...“

Jakże to bowiem było w tym groźnym momencie, kiedy armja niemiecka zamierzała przez małą Belgię, jak przez pomost, przejść do Francji? Król Albert miał wtedy dwa wyjścia: albo przepuścić armję niemiecką bez oporu, albo stawić jej czoło. Wybrał to drugie, mimo że wiedział o niemożliwości powstrzymania tej armji, pełnej impetu, świetnej i butnej. Spełnił obowiązek sojusznika, ale i coś więcej jeszcze, bo zaraz u wstępu wojny zaświadczył o tem, że istnieje wierność, odwaga i nieustępliwość. Tak kiedyś w roku 1830-ym polskie pułki w Warszawie zatrzymały rozpęd carskiej armji, zmierzającej na poskromienie powstania belgijskiego. Kto wie, czy właśnie mali i słabi nie spełniają najczęściej tej wzniosłej roli, czy nie im przypada misja cnoty i bohaterstwa?

Opór Belgji zaważył bowiem na dalszym losie wojny światowej. Nie mogła wszakże zgodzić się na sforsowanie Belgji Anglią, zaczęła obok polityki i interesu wkroczyć na pole walki czynnik szlachetniejszy, bo honor i protest przeciw bezprawiu. Zburzone twierdze belgijskie i cały ten kraj poryty rowami strzeleckimi były pierwszą winą Niemiec i jednocześnie zapowiedzią klęski wilhelmińskiego Reichu. W okopach przy żołnierzu stawał wtedy król belgijski w poczuciu swojej wspólnoty z tem, co się tak straszliwie rozpętało nad jego dzielnym narodem.

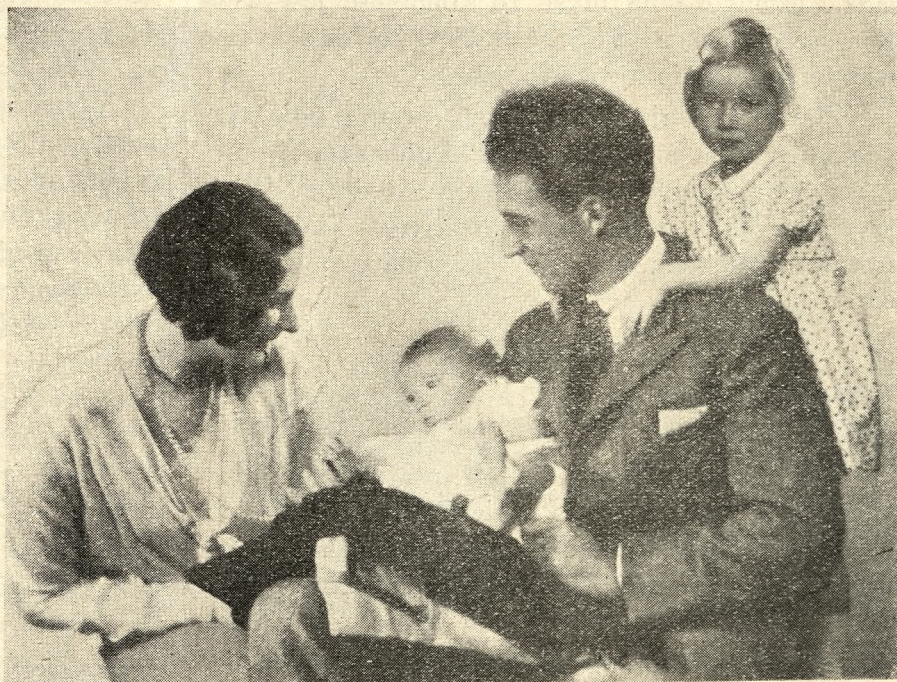
A może i w poczuciu innej jeszcze wspólnoty ze swoimi poddanymi, wspólnoty bliższej, prawdziwie ludzkiej. Bo król Albert miał także przydomek: „króla robotniczego“. Był wszakże liberałem i demokratą, bronił zasad powszechnego głosowania, popierał rozwój instytucyj społecznych, troszczył się o poprawę bytu klas pracujących. Wykształcony, rozumny, bohaterki i ludzki posiadał nadto niepospolitą cnotę skromności. Nie był nigdy czemś więcej, niż sobą.

Te wszystkie zalety człowieka, stojącego na czele narodu, tak bardzo świadomego swojej kulturalnej postawy, rozważane są dziś przez opinie świata z niekłamanym wzruszeniem. I tak samo, jak żałoba w Belgji nie jest jedynie oficjalnym ceremonjałem, tak też współczucie obcych rządów i obcych narodów jest naprawdę szczerym wyrazem żalu po pełnowartościowym człowieku. H. N.



DAWNY I NOWY KRÓL BELGJI.

U góry: król Albert z następcą tronu księciem Leopoldem.
U dołu: książę Leopold, obecny król Belgji z żoną, królową Astrid i dwojgiem dzieci.



JAK BYĆ SZCZĘŚLIWYM W MAŁŻEŃSTWIE? ⁷⁾

MAŻ — MATKA.

Młoda panna, lub rozwódka, wychodząc zamaż, nie oblicza się z jednym faktem, że w mężu odnajdzie przede wszystkim własną matkę. Nie będzie on jej pozwalał się malować, palić papierosów, flirtować, zupełnie, jak mama. Ten sam młody człowiek, który, starając się o jej względy, namawiał ją do picia wódek, mówiąc:

— Jeszcze jeden, na pani zdrowie, a teraz na moje! a teraz pod tę kanapkę! No a teraz, jeszcze jeden pod ułanów! — jako mąż, nie pozwala jej wcale pić. O gołe plecy swojej żony, idącej na bal, zazdrosny jest, jak muzułmanin dawnej daty o twarz ukochanej.

— Matka moich dzieci nie pójdzie między ludzi w tak wyciętej sukni — mówi surowo.

„Matka moich dzieci“ jest to jedno z takich charakterystycznych mężowskich powiedzonek, które słyszane przez samotne kobiety, nie posiadające ani męża, ani domu, wywołuje na ich ustach uśmiech triumfu. To powiedzenie słyszy się obecnie coraz rzadziej, ponieważ w dzisiejszych niepewnych czasach, nikt nie może przysiąc, czy to, co posiada, jest naprawdę jego własnością. O surowej enocie, którą ten z lumpowany często młodzieniec nakłada na swoją żonę, możnaby długo pisać. Co chwila używa słowa: „nie wypada“, którego nie używał nigdy w stosunku do innych kobiet. Gdy młoda pani założy za wysoko nagę na nogę, mówi lakonicznym głosem: kolano!.. Gdy zmarszczy czoło, tym samym głosem mówi: ...czoło!.. Gdy zacznie opowiadać jakąś śmiałą anegdotę, mruga na nią okiem i zagaduje. O dziesiątej godzinie wieczorem, tonem mamy woła: spać, spać, spać. To wszystko są objawy wielkiego przywiązania i rodzinnej miłości, która potrafi naprowadzić człowieka na myśl, że samotność jest wielkim szczęściem, na które człowiek, to towarzyskie zwierzę, widocznie nie zasłuży.

Z tego rodzaju rodzinnych uczuć, polegających na ciągłym „niepozwalaniu“ i nieustannej opiece, rodzi się zwykle smutna blada córeczka NUDA, przysporzycielka rozwodów, przeciwko której tak częstym urodzinom powinny powstać odpowiednie poradnie...

W JAKI SPOSÓB ZDOBYWA SIĘ MEŻA?

Każdy mężczyzna jest, jak ptaszek, chciałby pokochać, zaśpiewać krótką pieśń miłosną i zwiać, kobieta jest, jak chłopiec, łapiący owego śpiewającego ptaszka do klatki, którą potrochu jest dla mężczyzny małżeństwo. Jedną ręką sypie mu ziarno, a drugą nakrywa gruchającego gołąbka czapką lub

klatką bez dna. Tokującego głuszcza łatwo jest zastrzelić, korzystając z jego bezprzytomnego tańca, tokującego mężczyzny nie strzela się, natomiast zleżka nieprzytomnego prowadzi do ołtarza.

Do ślubnego kobierca prowadzą tylko dwie drogi: przez zmysły i przez pieniądze, innych dróg niema. Wypadków małżeństwa przez obowiązek i uczciwość jest tak mało, że nie warto o nich wspominać. Znałam tylko jeden taki wypadek, gdy pewien młodzieniec, zawieszony nad przepaścią, zrobił votum, że ożeni się ze swoją długoletnią przyjaciółnią, jeśli zdoła wyjść z życiem z owej groźnej sytuacji. Bogowie uznali jego „nadludzkie“ poświęcenie za dostateczne i młodzian został wyratowany. Inne małżeństwa kochanków, stosunkowo dość częste, zawierane bywają zwykle na tle dużego przywiązania zmysłowego, nigdy zaś na skutek wybujałej uczciwości i szlachetności ze strony mężczyzny.

Przywiązać mężczyznę „zmysłowo“, znaczy przywiązać go do siebie duchowo. „Niestety, powiedział Shaw, człowiek nie składa się z samego parteru“...

Daleko ważniejszą rzeczą (jest, jakim się jest po i przed atakiem miłości, nie w trakcie. To oczywiście odnosi się do obydwóch stron. W jednym z pism kobiecych notowano niedawno wypadek, w którym pewna żona zażądała rozwodu z bardzo kochającym mężem i podała jako jedyny powód jego stałe milczenie. Z kobiecego punktu widzenia milczek, który po „szalach“ nie potrafi powiedzieć jednego czułego słowa, lub chociażby porozmawiać po ludzku, nie nadaje się zupełnie na stałego partnera do życia. Mężczyźni wolą znowu spokojne, milczące i tajemnicze kobiety.

— Z tą kobietą ożeniłbym się w tej chwili — powiedział jeden mężczyzna o swojej znajomej — bo ona, będąc razem, potrafi czasem nie być, staje się chwilami cieniem, czemś tak lekkim, że zdawałoby się, że się ulotniła, mimo że jest blisko.

Oto tajemnica powodzenia: nie być wciąż, nie zamęczać swoją osobą, nie zanudzać swojemi babskimi sprawami, w których mężczyzna obraca się tak niezgrabnie, jak dorosły w dzieciennym pokoju, zarzuconym zabawkami i równie prędko pragnie z niego zwiać. A pozatem należy być niespodziewanym, prawie że nieobliczalnym, nie tak nie „bierze“, jak naprzykład, spodziewać się awantury, być na nią zgóry przygotowanym, a otrzymać zamiast niej, czułość i zrozumienie. I przeciwnie, myśleć, że zawsze jednakowo, zawsze dobrze, i nagle otrzymać zamiast spodziewanej szklanki gorącej herbaty — lody.

Jednakowość, nawet najczulsza i najśłodsza, sprzykrzy się. Zmienność, nierówność usposobienia denerwuje, złości, ale zaciekawia i rzadko kiedy znuździ. A przede wszystkim doży! Wszystko dozowa-

WSCHÓD — KOLEBKA WSPÓŁCZESNEJ CYWILIZACJI

ne, czasem nawet w homeopatycznych dawkach. Krótkie rozstanie naprzykład jest świetną pożywką dla bakcyli miłości, długie może go nawet zabić. Krótka burza każdemu z nas ulży, długa z ulewą i gradem nudzi i złości. Gdy czasem zdarzy się wspaniałe gorące lato, bez kropli deszczu, wypatrujemy chmurki na niebie z utęsknieniem... Miłość bez scen zazdrości, awantur, gorzkich przemilczeń jest równie ciężka i męcząca, jak takie beznadziejne, piękne lato. Do zjawiska miłości jesteśmy zupełnie tak samo ustosunkowani, jak do wszystkiego innego, co nas otacza, tylko zwykle nie zdajemy sobie z tego sprawy...

Przyzwyczajiliśmy się do tego, że, mówiąc o przyszłych zadaniach żony, o wyborze męża... etc. zwracamy się do panien. Tymczasem dzisiejsze życie stworzyło nowe kandydatki do małżeństwa, a mianowicie rozwódki — „O czym młoda rozwódka przed ślubem wiedzieć powinna“ — oto tytuł nowego podręcznika, który bezwarunkowo powinien się ukazać na półkach księgarskich.

„Einmal ist keinmal“, brzmi niemieckie przysłowie, rozwodnice myślą to samo i z zapalem dążą do nowego małżeństwa. „Człowiek, który postradał żonę, a żeni się powtórnie, nie jest wart szczęścia, które go spotkało!“, powiedział jakiś wschodni mędrzec. Mimo to, powtórne małżeństwo zwykle jest lepsze od pierwszego, ludzie nabierają wprawę, starają się unikać błędów, popełnianych w poprzednim małżeństwie, są starsi, roztrośniejsi, bardziej doświadczeni, bardziej „ludczy“ w stosunku do siebie.

Gdy rozwódka przekroczy symboliczną cyfrę czterdzieści i cztery, szuka zwykle na męża młodego chłopca. Pan, „qui frise la quarantaine du mauvais côté“ (jak mówią Francuzi) żeni się zwykle drugi raz z młodą dziewczyną. Nurzanie się w młodości cudzej, zajądanie się nią, jest wielkim szczęściem, ale krótkim i „wymłokosi“ się prędko. Na zdrady wówczas trzeba być zgóry przygotowanym. Młodość ciągnie do młodości, jak dziecko do dziecka.

Tylko starość nie lgnie do starości, przeciwnie, ma do siebie wstręt, bardzo zresztą niesłuszny. Czterdziestokilkolletnia dama, dobrze zakonserwowana w „Veck'u“ sportów i kosmetyków, powinna, jeśli się taka okazja nadarzy, wyjść zamaż za pięćdziesięcioletniego dżentelmena, z głową czasem, jak „Łysa Polana“, ale zato z sercem nie zepsutem bezczelnością młodości i który sposobem traktowania urządzi jej taką kurację odmładzającą, że wszystkie małpy wobec niego mogłyby okazać się muchą.

Przedewszystkiem będzie do niej mówił per „dziecko“ („czy dziecko nie potrzebuje pieniędzy?“ — „Czy nie obetrzeć noska“ etc.). Będzie ją traktował, jak małą dziewczynkę i mówił do niej: „wy młodzi“... Po roku małżeństwa z takim miłym, starszym panem czterdziestokilkolatka będzie się czuła, jak smarkata, co niesłychanie dobrze wpłynie na jej wygląd i samopoczucie.

Magdalena Samozwaniec.

Wycieczki na Wschód porównać można z cudowną bajką, kryje on bowiem w sobie tyle tajemnic odrębnego zupełnie życia tamtejszych mieszkańców, ich swoistej sztuki i starej kultury, że zgłębić i całkowicie poznać go mało kto potrafił. Tej odrębności Wschodu przypisać należy może fakt, że choćbyśmy dziesiątki razy przejechali go tam i zpowrotem, urokowi jego nigdy oprzeć się nie zdołamy.

Uliczki zalane słońcem, pogrążone w ciszy, wielkie bazyry, tętniące gwarem i życiem, stanowią świat sam w sobie, jedyne w swoim rodzaju muzea, stare grobowce, wreszcie niesłychanie ciekawe świątynie i opustoszałe klasztory.

Przez wieki cała ziemia ta była terenem walk i rządów przeróżnych narodów i ras, z których to czasów po dziś dzień pozostały cenne i ciekawe pamiątki.

Podróż na Wschód porównać można przeto z żywą księgą historii kultury świata, gdyż cywilizacja współczesna tu przecież posiada swoją kolebkę.

Od kilku miesięcy nastąpiło ogromne ułatwienie w odbywaniu podróży na Wschód, znany dotychczas tylko nielicznym polskim podróżnikom i małej garstce zamożnych pielgrzymów, zdążających do Ziemi Świętej. Bowiemi Polskie Transatlantyckie Towarzystwo Okrętowe, po ugruntowaniu przed czterema laty stałej komunikacji między Polską a Kanadą i Stanami Zjednoczonymi Am. Półn. uruchomiło przed kilkoma miesiącami komunikację na nowym szlaku w kierunku południowym, najbardziej w Polsce dotychczas zaniedbanym i niedocenianym. Towarzystwo skierowało na wody morza Czarne i Śródziemnego największy swój okręt „Polonja“, który regularnie co dwa tygodnie pływa po trasie Konstanza — Konstantynopol — Jaffa — Haifa — Pireus — Konstantynopol — Konstanza.

Zamiast tulać się po obcych okrętach, zdani na łaskę i niełaskę ludzi obcych mową i zwyczajami, polscy turyści i pielgrzymi, udający się do Ziemi Świętej, posiadają obecnie do swojej dyspozycji wygodne i komfortowo urządzone kabiny, polską kuchnię i polską obsługę na statku, nie mówiąc już o serdecznej towarzyskiej atmosferze, panującej w czasie podróży na okrętach Towarzystwa.



Meczet w Stambule.

O CZŁOWIEKU, KTÓRY SPADŁ Z KSIĘŻYCA

Zmierzch wieczorny w wielkim mieście.

Na piątym piętrze któreś kamienicy ktoś zamknął książkę, wstał, włożył palto, zgasił światło, wyszedł z pokoju i zaczął schodzić w dół wąską, nieoświetloną klatką schodową, niby tunelem, wiodącym z ciszey czterech ścian do szumu miasta.

Na trzecim piętrze.

— Co to? Ach, przepraszam! Któż tak siedzi na schodach po ciemku.

Błysk zapalniczki. Błada, smutna twarz kilkoletniego dziecka.

— Dlaczego tu siedzisz tak, mój mały? I płaczesz? Czemu nie idziesz do domu?

— Mama... Mama kazała mi tu siedzieć.

— Matka? Poco? Cóż ty tutaj robisz?

— Ja... nic... tak sobie... myślę...

— O czym myślisz?

— Ja nie wiem...

— Gdzie mieszkasz?

— Tam, na szóstym.

Człowiek, który wyszedł z cizy swoich czterech ścian, bierze dziecko za rękę. Prowadzi je. Za chwilę stuka do drzwi.

Snop światła. Mały pokój, pełen ludzi. Przy stole kilku mężczyzn. Wódka. Karty. Krzyki. Hałasy. Wymyślania.

Jakaś kobieta wstaje, podchodzi do drzwi, mówi:

— Czego pan chce?

— Ja właśnie... to dziecko... przyprowadziłem...

— Poco pan przyprowadził, — szepce kobieta świszczącym, zagniewanym głosem. Wychodzi z pokoju, zamyka drzwi i dalej już nieco głośniejszą na korytarzu:

— Czego pan się właściwie wtrąca, co?

— Dlaczego pani się gniewa. Pani nie ma serca. Dziecku tak kazać pociemku... na schodach...

— Ja nie mam serca. To ci frajer. Mam może pozwolić, żeby dzieciak patrzył na to wszystko, co się tu dzieje? I żeby mu mąż wódkę dawał? I żeby słuchał takich wyrazów? Żeby się tego uczył? Czy nie lepiej, żeby posiedział sobie na schodach, nim się to wszystko skończy? Co wieczór jest tak i dobra, a tu masz! Znalazł się mądrzejszy opiekun!

— A dlaczego pani nie zaprowadzi go gdzieś do sąsiadów?

— To ci pomysł? A bo to u nich co lepszego! Mało to każdy ze swemi dziećmi ma kłopotu! I na swego męża mam może wymyślać przed obcymi, że pijak, co? E... idź pan... Z księżycą spadłeś, czy co!

Trzask drzwi i pustka ciemnego korytarza. Człowiek, który spadł z księżycą, schodzi wolno na dół.

Ma ciężkie serce i głowę pełną nieoczekiwanych myśli. Najchętniej wróciłby na górę, tam do swoich książek. Ale ma taką ochotę napić się herbaty, a spirytusowa maszynka zepsuta.

Za chwilę wpada w szum uliczny. Podchodzi do przystanku, wsiada do tramwaju. Wagon naładowany ludźmi. Ktoś chce stanąć między ławkami w przejściu, ktoś drugi mu przeszkadza. I już kłótnia.

— Panie, czego pan się tak pcha...

— To ja się pcham, — to pan się rozbija.

— Niech pan się liczy ze słowami.

— Licz się pan sam, jakeś taki skąpy.

— Dowcipniś.

— Co?.. Niech pan powtórzy.

— Głupiec.

— Ja ci...

Człowiek, który spadł z księżycą, staje nagle między zapaśnikami. Rozdziela ich.

— Panowie, wstyd. O co się sprzeczać? O nic! I — przecież tu są kobiety!

— No to co? Gdzie ich niema?.. I czego się pan właściwie wtrąca?.. Kto pana prosił? Jak się panu tramwaj nie podoba, to możesz pan samochodem...

Przystanek. Nowa fala ludzi. Zapaśnicy wychodzą razem bez kłótni.

— Bilety, kto jeszcze nie kupił biletów? — zapytuje zmęczonym głosem konduktor.

Człowiek z księżycą sięga do kieszeni palta.

Portmonetka znikła. Jak to dobrze, że w kieszonce kamizelki ma jeszcze kilka złotych.

Tramwaj mija kilka ulic, wjeżdża w jasną, gwarną dzielnicę miasta. Człowiek z księżycą wysiada z tramwaju. Idzie ulicą i uśmiecha się; tak, sam ze siebie się śmieje, że tamci w tramwaju tak go nabrali. Nie, wcale nie jest zły, choć żał mu pieniędzy. On chciał przecież zrobić dobrze, pogodzić zwaśnionych, powinien był tak właśnie postąpić. Cóż z tego, że i tym razem nie udało się. Innym razem powiedzie się znowu. Nie można się zrażać. A ludzie tak niepotrzebnie się sprzecząją i o byle co. Potem ze sprzeczeki robi się kłótnia, z kłótni — awantura, z awantury — zbrodnia. Patrzą czasem ludzie ieden na drugiego, jak dzikie zwierzęta i szukają zaczepki. Dlaczego?

Czy nie jest prościej i milej żyć w zgodzie, być dobrym i uprzejmym dla wszystkich? Czy życie wtedy nie byłoby łatwiejsze? Przecież to jest takie proste!

Na ulicy jest coraz bardziej ciasno. Tłum wieczorny przelewa się po brzegi chodników. Trudno jest tak przechodzić między ludźmi.

Człowiek, który wyszedł z cizy czterech ścian i zabłąkał się aż tu do środka miasta, z trudem przebija się przez tłum, zdążając do najbliższej przecznicy.

Tam na rogu ulicy snopy jasnego światła z poza wielkich szklanych ścian. Cukiernia. Chwila wahania i człowiek z księżycą wchodzi do wnętrza. W przejściu między parą szklanych drzwi, jak w gablotce, stoi obdarty, wynędzniały człowiek, wyciąga rękę, szepce:

— Jestem głodny...

Wielka sala nabita ludźmi. Nie ma ani jednego wolnego stolika. Kelnerzy nie mogą nadażyć. Gwar głosów, śmiechy, mdły zapach ciastek, woń perfum, dźwięki jazzbandu.

— Niech pan chwilę zaczeka, — mówi uprzejmie panienska z poza bufetu. Ma jasne włosy, zmęczoną, bladą twarz i „urzędowy“ uśmiech „à la Schampoon Elida“.

— Niedługo będzie jakieś miejsce.

— Ach tak. Dobrze. Czy tu zawsze jest tak pełno, proszę pani?

— O tak. Nasza cukiernia jest słynna. Tu ludzie przesiadują całymi godzinami.

— Całymi godzinami? Poco?

Panienska patrzy pobłażliwie na zniszczone palto i zamysłone oczy dziwnego gościa.

— „Z księżycą spadł“ — myśli — a głośno dodaje:

— Jąko poco? No, żeby się zerwać. Teraz każdy ma tyle kłopotów, że chętnie idzie do cukierni. Posiedzi, posłucha muzyczki, to jakoś czas mu zejdzie. A rozmawiać jest o czym. Przecież pan wie, kryzys, bezrobocie...

— Ach tak...

Drzwi cukierni otwierają się, zamykają... Co chwila ktoś wchodzi... Ktoś wychodzi... Co chwila wpada prąd zimnego powietrza i szara postać w gablotce robi ciągle robi ten sam błagalny ruch ręką.

— Jestem głodny...

Wreszcie uwalnia się jakiś stolik. Człowiek w zniszczonym palcie siada. Pije herbatę i je drożdżowe ciastko. Ale mu nic nie smakuje. Ciągle widzi tamtego człowieka przy drzwiach i ten ruch ręki... A

myśli płyną niespokojne, poszarpane, bolesne.

— Ilu ludzi jest teraz głodnych na świecie? I dlaczego? Przy takiej technice pracy, przy tylu wynalazkach? Pocóż więc one wszystkie? Poco nauka? Pocóż więc tak, latami... na piątym pięttrze siedzieć... badać, szukać w oderwaniu od życia, od wszystkiego? Pocóż ta cała praca ludzkiego mózgu? Trzeba jednak czasem przeczytać gazetę... Może już tam na szerokim świecie poradzili coś, rozwiązali, tylko on o tem nie wie?

Tuż obok leży drewniany kij z przymocowaną płachtą zadrukowanego papieru.

Człowiek w zniszczonem palcie bierze do ręki gazetę, czyta nagłówki.

— Nowy wstrząs finansowy w Stanach Zjednoczonych. Widmo wojny chemicznej. Trzydzieści milionów bezrobotnych świata woła o chleb i pracę. Nowe oblicze kryzysu. Ujęcie szajki niebezpiecznych włamywaczy, znowu zabójstwo w biały dzień. Trzy ofiary przebiegłego szantażu. Niewesołe skutki wesołej hulanki. Kino — Buster Keaton — Dobroczynca ludzkości. Pamiętnik przestępcy, powieść. Rewelacyjny opis spelunek wielkomięjskich... Wypadki i niedole... Samobójstwa, samobójstwa... Po udzieleniu pomocy desperata pozostawiono na miejscu.

— Czy to jest możliwe? Czy świat oszalał? Czy nikąd nie wybłyska nadzieja. Czy nigdzie nie staje się nic pogodnego, dobrego, jasnego? A jeżeli tak, to dlaczego o tem nie pisza? Nie, to być nie może!

Człowiek, który spadł z księżycy, nie dopija herbaty. Patrzy na adres redakcji, godziny przyjęć wieczorem. Może jeszcze zdąży?

Po kilku minutach tkwi już w dusznej, ciasnej poczekalni lokalu redakcyjnego.

Przed nim na stole gazety, stopy szarej bibuły, ociekające czarną smołą myśli ludzkich i farby drukarskiej.

— Pan redaktor prosi — obwieszcza za chwilę mały boy o papierowej twarzy i ruchach manekina.

Duży, przeładowany meblami gabinet. Szafy biblioteczne. Biurko, zasłane stosem papierów i znowu gazety, gazety, gazety... Za niemi, w kłębach siwego dymu szczupła, nerwowa twarz, binokle.

Pada pytanie.

— Czem mogę panu służyć?

— Ja właściwie nic konkretnego... tylko...

Po tamtej stronie ruch zaniepokojenia.

— Przyniósł pan jakiś artykuł? Czy może chodzi panu o...?

— Nie, nie. Ja właściwie w spra-



Puder „Lady”

parfumée au Chat Noir

perfumą którą tak lubicie.—

Puder „L A D Y” jest zupełnie nieszkodliwy dla cery, usuwa tak przykry połysk skóry, dobrze przylega i pokrywa głębsze pory i spierzchłą skórę.

Do nabycia we wszelkich modnych odcieniach.

Oryginalne pudetko zł. 1.40



wie pańskich artykułów, to jest tego, co pan w swoim piśmie...

— Słucham, słucham.

— Panie redaktorze! Czy to jest możliwe, żeby na świecie nie działy się inne rzeczy, dalekie od tych okropności, któremi pan zapełnia swoje pismo? Czemu pisze pan tylko o zbrodniach i nieszczęściach?

Dziennikarz poprawił binokle, spojrzął na przybysza; odetchnął z ulgą. Chwała Bogu nie prośba o posadę, tylko jakiś nieszkodliwy warjat. Więc odrzekł łagodnie, tłumacząc.

— Zapewne. Zapewne nie wszystko przedstawia się tak tragicznie. Ale widzi pan, czytelnicy nie lubią takich tematów sielskich - anielskich... Pali Pan?... Nie?... Szkoda. Czytelnikom potrzeba wstrząsów. Są już zanadto zmęczeni, zdenerwowani, by mogli dobrze przyjąć jakąś słodką patokę.

— Czy pan się nie myli, redaktorze?

— Czy ja się nie mylę? — Dziennikarz poruszył się niecierpliwie — (jakże tu pozbyć się natręta?) — Nie, panie, mam przecież tyle do świadczenia. Ludzie są dzisiaj zbyt smutni, by mogli czytać o czemś, co nie jest tragiczniejsze od ich własnych myśli.

— A czemu się tak ludzie smuć, panie redaktorze?

— Czy pan z księżycy spadł? Mało to jest nieszczęść?... Bezrobocie, nędza... daruje pan, ale tracimy chyba czas na próżno...

— Już idę... tylko... Myślę, że smutkiem nic się nie naprawia. I... że gdyby ludzie naprawdę szczerze martwili się nieszczęściami innych, toby temu nieszczęściu starali się więcej zaradzić... Może byliby bezrobotni, ale nie byłoby głodnych. Bo przecież większość ludzi ma jeszcze dzisiaj pracę... Więc gdyby się swoim chlebem dzielili...

— Dziękuję panu — telefon.

— Przepraszam panie redaktorze, dowidzenia.

— Ot i znowu — nie udało się...

Człowiek, który spadł z księżycy, powraca do domu. Idzie powoli, bocznymi ulicami miasta. Tu jest ciszej, spokojniej. Wreszcie pięciopiętrowe, znajome, wielkie pudło. Znowu ta sama klatka schodowa, wąska i nieoświetlona; jakże miła, przytulna, znajoma i bliska po szumiącym kanale ulicy.

W czerni błyszczą dwa małe, zielone światełka. Ach to kot! Ten duży, żółty kot, podwórzowy przybłąda.

— A tutaj? Co znowu? Dziecko? Śpiące dziecko! To samo! Zapomnieli o niem! O! co za ludzie!

Człowiek z księżycy bierze malca w ramiona, delikatnie, po matczynemu. Niesie go w górę po schodach, ostrożnie, żeby nie zbudzić. I zanosi wprost do siebie. Kładzie na łóżku, przykrywa pledem, paltem, czem się da, bo w pokoju jest zimno. Za chwilę w ciszy czterech ścian słychać równy oddech śpiącego dziecka.

Człowiek z księżycy siada przy stole. Bierze pióro do ręki. Musi dziś skończyć ostatni rozdział swego studjum o kulturze hetyckiej. A jutro zacznie pisać nową książkę. Książka będzie o tem, jak mają ludzie postępować, żeby im było z sobą dobrze. Cóż stad, że dzisiaj nikt jej nie zrozumie!.. To będzie książka dla dzieci. Dla tych dzieci, które dziś śpią na schodach. Ale jutro będą z nich nowi ludzie.

W ciszy czterech ścian słychać miarowy skrzyp pióra.

Dziecko uśmiecha się przez sen, szepcze:

— Kici... Kici...

Wanda Woytowicz-Grabińska.

DAWNE, BOJOWE



...apatycznie stoją krowy, szukające, Bóg mie, czego pod głęboką warstwą śniegu ...



Patrol huculski na trasie marszu.



Kościółek w Nadwórnej.

W tym czasie, kiedy patrole narciarskie, biorące udział w zimowym marszu narciarskim „Huculskim szlakiem II Brygady Legionów“, ruszały w drugim dniu zawodów z Rafajłowej na Douhę do przełęczy Tatarskiej (razem ponad 32 kilometry), my w Worochcie lokowaliśmy się na sanie, aby kuligiem pojechać do Żabiego, zdawna uznanego ośrodka Huculszczyzny.

Zapoczątkowany w tym roku rajd narciarski jest odpowiednikiem sierpniowego „marszu szlakiem Kadrowki“. Tamten jest sprawdzianem wytrwałości marszowej na równej drodze, podczas skwarne lata, ten przenosi zawodników w całkiem odmienne warunki, pozwalając stwierdzić, czy i o ile przyjął się w naszym wojsku i pokrewnych organizacjach nowy u nas rodzaj sportu — narciarstwo. Obie zresztą imprezy mają podkład także ideowy, nawiązując do tradycji tak pierwszej, jak i drugiej brygady, mocno związanych uczuciowo z pewnymi miejscowościami i fragmentami swej historii bojowej. Nie ulega wątpliwości, że takim odcinkiem dla II Brygady jest Krzyż Legionów na przełęczy Pantyrskiej i sławna już „droga Legionów“, po której sunęły teraz patrole odrodzonego wojska polskiego.

Wycieczka byłych żołnierzy II Brygady — z pełną domieszką członków Tow. Przyjaciół Huculszczyzny — do Żabiego miała na celu nie tylko auto-psje tych dawnych, bojowych szlaków Legionów, lecz i odwiedzenie dawnych towarzyszy broni — Huculów, których napływ w 1914 roku do II Brygady był tak liczny, iż zdołano wysztyfować z nich wcale grzeczną kompanję, która później ramię przy ramieniu walczyła przeciw Moskałom. Poza tem w Żabim, jak i w Nadwórnej, i w dziesiątku innych miejscowości karpackich znajdują się bratnie mogiły legionistów i dziś, po dwudziestu latach, godziło się im oddać pośmiertny hold.

Ściśle ustalić, ile kilometrów dzieli Worochtę od Żabiego, nie udało się nam. Faktem jednak jest, że od rana ścisłał tęgi mróz, który też odstraszył od projektowanej wycieczki wiele osób, a zwłaszcza wrażliwą prasę. Wreszcie ruszyliśmy. W małej odległości za Worochtę zaczęły się forpoczty lasu. Po obu stronach tonącej w zaspach śnieżnych drogi stanęła ściana świerków, których ciemnozielone igliwie na tle przysypującego je śniegu zdawało się prawie czarne. Rozbiegane czy nie wiedziały, na co patrzeć, co podziwiać, tymczasem las stawał się coraz gęściejszy, coraz bardziej zespolony tysiącem napół uschniętych gałęzi w jedną mroczną, nieprzebytą całość. Dopiero za Ardzeludzą, skoro, zbczywszy z szosy, pograżyliśmy się w bór, zdumienie odebrało nam mowę do tego stopnia, że tylko gestami, że tylko szturchnięciem ramienia wyrażaliśmy swój podziw i zachwył.

Las nie był tu tak dalece gęsty, jak na brzegu, bowiem olbrzymy drzewne rozpychał leśne pospólstwo, drąc się w górę, do słońca. Niebotyczne, brunatne kolumny odwiecznych świerków wyglądały niczem kominów fabrycznych lub potworne maszty. Wokół nich garnęło się do życia mrowie pomniejszych drzew, wiodących z sobą zaciętą walkę.

Wiem dobrze, że na ziemi, teraz przysypanej zwalami śniegu, leżą niezliczone trupy drzew, porośniętych mchem, zawilcem i drobnymi krzewami, że kładą się tak jedne na drugie od tysiąca lat. Czasami ściany boru rozstępują się, ukazując wijącą się, śnieżną płaszczyznę. To potok, tu i owdzie błyskający czarnym okiem żywej wody. Ze skalistego zbocza nad potokiem zwisają szerokie lodowe sople. To podskórna woda, zdążająca do swej macierzy. Przy-

SZLAKI

chwycił ją mróz i tak utrwalił aż do nadejścia wiosny. W lecie między drzewa sączą się leśne, rdzawe strumyki, w niższych partjach las jest nasiąknięty wodą, jak gąbka. Wreszcie prześlizgujemy się pod zgiętą w pałąk, przywaloną śniegiem białokorą brzoza, niby pod łukiem triumfalnym puszczy i oto jesteśmy na Bukoweli.

Szczyt góry, granica dwóch powiatów, rozległe horyzonty, w dali błyska lodowaty szczyt Howerli. Wspaniałą serpentyną zjeżdżamy wdół. Godzinny postój w Krzywopolu. Krajobraz na wsze strony porznięty jest łamaną linią wspartych na wysokich żerdziach płotów. Koło huculskich zagród tłoczą się wiecznie wystraszone owce. Przy samotnych stogach apatycznie stoją krowy, Bóg wie, czego szukające pod głęboką warstwą śniegu. Opodal mały konik, wielkości dobrego cielaka, w zadumie zwiesił łeb, obojętny na wszystko. Spotykani ludzie są bajecznie kolorowi.

Chłonąc to wszystko oczami, wjeżdżamy do niesłuchanie długiego Żabiego. Pod białoczerwoną chórągwia szykuje się wielka gala: po jednej stronie ustawiona orkiestra huculska, po drugiej — plutonik b. legionistów-Huculów. Pośrodku delegacja z wójtem na czele. Trzyma w rękach chleb i sól, aby za chwilę powitać generalicję. Przemawia krótko, po nim głos zabiera jeden z legionistów, a potem następuje wzruszająca scena: mówca poznaje swego dawnego dowódcę, płk. Bolta i całują się z dubeltówki. Generałowie Malinowski i Smorawiński witają się z legionistami, palą wspólnie papierosy, ściskają sobie ręce. Padają pytania: „gdzie służył, pod kim, w jakich bojach brał udział“?

Potem odmaszerowujemy do „śródmieścia“, gdzie są dwie restauracje. W sali miejscowego Zw. Strzeleckiego następuje rozdawnictwo nart małym Huculom. Obserwuję ich, jak po wyjściu na ulicę oglądają swe narty, jak komentują ich wartości, jak wreszcie, zarzuciwszy je na ramię ruchem doświadczonych narciarzy, śpieszą do domów, podczas gdy inni, pionierzy narciarstwa na Huculszczyźnie, smyrgają po ulicy na własnoręcznie wykonanych deskach. Niektórzy jeżdżą z górki na jednej tylko „narcie“, stojąc na niej rozkraczeni obiema nogami. Z pewnością za kilka lat narciarstwo stanie się tu udziałem wszystkich, gdyż jest to niezastąpiony środek komunikacji w górach, od którego starsi narazie stronią.

O sinym zmierzchu udajemy się na pobliski cmentarzyk, gdzie spoczywają snem wiecznym legioniści. Czterech Huculów z karabinami trzyma przy grobach straż, cztery kaganki rzucają na nas niepełne światło. Przemowa jedna, druga, chwila ciszy. Potem pieśń „Śpij, kolego, w ciemnym grobie...“, którą i my śpiewaliśmy w latach 1918—20. Krótko, żałośnie zadzwoniła sygnaturka. Uroczystość była skończona. Umarli nie wymagają wiele.

Po podwieczorku w sali Zw. Strzeleckiego popisowała się część trupy huculskiej. Ci z bożej łaski aktorzy odegrali w swem narzeczu kilka fragmentów sztuki Korzeniowskiego „Karpaccy górale“ i trzeba przyznać, że odegrali z zacięciem i wcale swobodnie. Scena była bardzo szczupła, brakowało najniezbędniejszych utensyljów, ale zatłoczona widownia nie szczędziła oklasków dla zbójnickiego tańca, dla strojów, dla wykonawców, dla inicjatywy wreszcie. Zwłaszcza taniec zdobył sobie szturmem sympatię widzów. Uczestnicy utworzyli koło, ściśle spiecione rękami i w takt monotonnych przyśpiewek akcentowali je rytmicznym tupaniem, a nawet uderzeniami dłoni o podłogę. Czynie to z takim przejęciem, że aż zgasła naftowa lampa.



Wójt gminy Żabie i delegacja b. legionistów Huculów witają mycieczkę, przybywającą do Żabiego.



Najmłodszy narciarze huculscy.



Jeden z patroli huculskich przed startem w Rafajłowej.

**FOSFATYNA
FALIERA**



**DA TWEMU DZIECKU
SIŁĘ i ZDROWIE**

WARSZAWA GRZYBOWSKA 88.



Program tego dnia wyczerpała wspólna kolacja, na którą zaproszono miejscowych luminarzy z żonami. Kolorowe baby, jak kokosze, rozsiadły się zaczerwienione od wzruszenia i trunku na ławach wśród luminarzy wojskowych. Nie brakło ni jadła, ni napoju. Siny dym od papierosów wypełniał izbę i w dymie tym, jak we mgłę, pływały pokraśniałe, rozochoczone twarze, granatowe ubrania narciarzy, białe, wyszywane kożuszki huculskie, zielone mundury i chustki, ocierające z czoła perlący się pot.

Płynęły niekończące się opowiadania z dawnych, bojowych szlaków...

*

Nazajutrz rano wracaliśmy do Worochty, aby zdążyć na zakończenie rajdu i rozdawnictwo nagród zwyciężskim zespołom.

J. K. Maciejewski.

PRAWO W ŻYCIU CODZIENNYM

UBEZPIECZENIA SPOŁECZNE

Polska odziedziczyła po zaborcach ustawodawstwo ubezpieczeniowe dla każdej dzielnicy innej. Prawodawca polski ograniczał się narazie do uzupełnienia istniejących przepisów, rozciągając niektóre ustawy, obowiązujące w jednym b. zaborze, na teren drugiego, gdzie wogóle danego ubezpieczenia nie było, lub ogłaszał ustawy, regulujące pojedyncze gałęzie ubezpieczeń. Taki stan rzeczy był jedynie tymczasowy i reorganizację na tem polu zapowiadano oddawna. Dokonała jej, niemalże całkowicie, ustawa z dnia 28 marca 1935 roku o ubezpieczeniu społecznym, która weszła w życie z dniem 1 stycznia 1934 roku. Jednocześnie została ogłoszona wielka ilość rozporządzeń, zarządzeń, statutów i regulaminów, uzupełniających i wyjaśniających tę ustawę.

Ustawa zniósła dotychczasowe różnolite przepisy, regulując następujące kategorie ubezpieczeń: 1. na wypadek choroby i macierzyństwa, 2. od wypadków i 3. ubezpieczenia emerytalne robotników. Pozostały w mocy: Rozporządzenie Prezydenta R. P. z 1927 r. o ubezpieczeniu pracowników umysłowych z wyjątkiem części, dotyczącej organizacji, która została zmieniona nową ustawą, oraz ustawa z 1924 r. na wypadek bezrobocia. Ustawa obowiązuje na obszarze całego naszego kraju z wyjątkiem górnośląskiej części województwa śląskiego, gdzie obowiązuje w ograniczonym zakresie (ubezp. od wypadków i ubezp. pracown. umysł.). Zapoznajmy się z najbardziej ogólnymi zasadami nowej ustawy.

Dotychczasowe Kasy Chorych zostały przekształcone na t. zw. Ubezpieczalnie Społeczne

o szerszych kompetencjach. Będą więc one wykonywały oprócz ubezpieczenia na wypadek choroby i macierzyństwa (zakres działania b. Kas Chorych) również czynności, dotyczące administracji innych ubezpieczeń. A więc zgłoszenie pracownika do jakiegokolwiek rodzaju ubezpieczenia odbywa się w Ubezpieczalni, tam również wpłaca się składki i zgłasza roszczenia z tytułu wszystkich ubezpieczeń społecznych, tam składa się zawiadomienia o wypadkach, które nastąpiły przy pracy i t. p. Pracodawcy i pracownicy będą więc się stykać obecnie prawie wyłącznie z ubezpieczalniami, a rzadko tylko z właściwymi zakładami ubezpieczeń, które ustawa powołuje w liczbie czterech. Są to:

1. Zakład ubezpieczenia na wypadek choroby;
2. Zakład ubezpieczenia od wypadków;
3. Zakład ubezpieczenia emerytalnego robotników i
4. Zakład ubezpieczeń pracowników umysłowych.

Pierwszy z nich jest wyższą instancją w zakresie ubezpieczenia na wypadek choroby i macierzyństwa, mającą kontrolować, uzupełniać i usprawiedliwiać działalność ubezpieczalni w tym kierunku, zapatrzeć je w środki lecznicze i techniczne, udzielać w razie potrzeby subwencji i organizować dla nich pomoc kredytową; a ponadto prowadzić wspólną dla wszystkich rodzajów ubezpieczeń akcję leczniczą i profilaktyczną.

Do zakresu działania drugiego z wyżej wymienionych zakładów należy przyznanie i udzielanie świadczeń z tytułu ubezpieczenia od wypadków w zatrudnieniu i chorób zawodowych (renty dla ubezpieczonego, ew. wdowy po nim i dzieci lub dalszej rodziny, oraz leczenie). Poza tem Zakład ten

będzie organizować i popierać akcję zapobiegania wypadkom przy pracy i chorobom zawodowym, będzie zakładać warsztaty dla inwalidów i organizować ich szkolenie, ustalać wysokość składek, przypadających od pracodawców, oraz prowadzić kontrolę osób, pobierających świadczenia.

Trzeci z zakładów, wprowadzający emerytury dla robotników, jest inowacją na terenie b. Kongresówki i ziemiach wschodnich, gdzie tego rodzaju ubezpieczenie dotychczas nie istniało. Zasady przyznawania renty emerytalnej, obliczania jej wysokości, są nader skomplikowane. Ograniczamy się tylko do zaznaczenia, że renta ta nie może przewyższać 80% przeciętnego zarobku ubezpieczonego.

Czwarty z Zakładów, popularny Z. U. P. U., uzyskał trochę zmienioną organizację, zachowując dotychczasowe kompetencje, których z tego względu na tem miejscu nie omawiamy.

Wyszczególnione wyżej rodzaje ubezpieczeń częściowo tylko dotyczą pracowników i robotników rolnych. Ubezpieczenie na wypadek choroby i macierzyństwa zapewnia im ustawa w formie udzielania świadczeń t. j. pomocy lekarskiej, środków leczniczych i zasiłku chorobowego, bezpośrednio przez pracodawców rolnych. Chcąc uwolnić się od tego obowiązku, mogą ci ostatni wejść w porozumienie z miejscową ubezpieczalnią społeczną, która przejmie ich obowiązki wzajemnie z pewien równoważnik pieniężny.

Ubezpieczalnie Społeczne i cztery Zakłady Ubezpieczeń Społecznych są członkami Izby Ubezpieczeń Społecznych, która powołana jest do koordynowania w zakresie wszystkich ubezpieczeń działalności ubezpieczalni i zakładów, oraz do organizowania akcji, zmierzają-

cej ku osiągnięciu wspólnych celów tych instytucyj.

Nie sposób referować tu licznych i skomplikowanych przepisów ustawy, określających, kto podlega ubezpieczeniu. Zasadniczo podlega mu każdy bez różnicy płci i wieku, kto pozostaje w stosunku pracy *najemnej lub stosunku służbowym* z wyjątkiem funkcjonariuszy państwowych, wojskowych, duchownych (chyba, że są np. prefektami i t. p.), oraz cudzoziemców, zatrudnionych w poselstwach i konsulatach państw obcych. Z osób obowiązanych do ubezpieczenia, nie wszystkie podlegają mu w jednakowym zakresie.

Na zakończenie kilka praktycznych uwag o ubezpieczeniu służby domowej.

Zgłoszenie do Ubezpieczalni winno być skuteczne w ciągu 7 dni od przyjęcia służącej, lub 10 dni, jeśli Ubezpieczalnia znajduje się poza miejscem pracy. Takie same terminy należy zachować dla wymeldowania z Ubezpieczalni. Przekroczenie właściwego terminu zgłoszenia, który jest *obowiązkiem pracodawcy*, powoduje jego odpowiedzialność karną (grzywna do 500 zł.). Niezawiadomienie Ubezpieczalni o zaprzestaniu pracy przez służącą nakłada na pracodawcę obowiązek dalszego płacenia składek aż do chwili wymeldowania.

Zgłoszenia i wymeldowania dokonuje się na formularzach, wydawanych za minimalną opłatą przez ubezpieczalnię. Zgłoszenie podpisuje pani (pracodawca) i służąca, a jeśli nie umie pisać, osoba przez nią upoważniona (swojem nazwiskiem) z powołaniem się na to upoważnienie. *Zmianę warunków pracy*, t. j. podwyższenie lub obniżenie pensji *zgłasza pracodawca* również na odpowiednich formularzach *w ciągu pierwszych 10 dni* następującego po zmianie miesiąca.

Dotychczasowe książeczki b. Kasy Chorych będą wycofane. Każdy pracownik otrzyma bezpłatnie z Ubezpieczalni Społecznej nową legitymację, opatrzoną numerem rejestracyjnym, która służyć mu będzie dla wszystkich rodzajów ubezpieczeń i niezależnie od zmian miejsca, zatrudnienia, czyli na cały okres ubezpieczenia. U siebie Ubezpieczalnia prowadzi będą odpowiednią kartę ewidencyjną pracownika, oznaczoną takim samym numerem, co legitymacja. Numer ten należy powoływać przy wszelkiej korespondencji z Ubezpieczalnią.

Służące, czy, jak kto woli, pomocnice domowe, podlegają *ubezpieczeniu chorobowemu i na wypadek macierzyństwa, emerytalnemu robotniczemu, i wypadkowemu,*

oraz ponoszą opłaty na Fundusz Pracy.

Ostatnio Ubezpieczalnia podały do publicznej wiadomości wysokość składki, należną za służącą, dzieląc ją na części, przypadające od pracodawcy i od pracownicy. Tak więc w Warszawie płaci się: miesięcznie:

A. Za posługaczki przychodnie — 3 zł. 19 gr. (w tem pracodawca — 2,94 zł. i pracownica 0,25 zł.).

B. Za służące stałe:

a) zarabiające do 30 zł. miesięcznie w gotówce — 5 zł. 73 gr. (5,28 i 0,45),

b) zarabiające powyżej 30 zł. do 60 zł. miesięcznie w gotówce — 8 zł. 92 gr. (4,16 i 4,76),

c) zarabiające powyżej 60 zł. mies. w gotówce — 11 zł. 47 gr. (5,35 i 6,12).

Na prowincji składki są cokolwiek niższe.

Ubezpieczalnia będą nadsyłały miesięcznie nakazy płatnicze tak, jak to czyniły Kasy Chorych. Dotychczas nikt z nas nie otrzymał jeszcze takiego nakazu; wysłanie go zostało opóźnione z powodu nawału pracy przy reorganizacji instytucyj ubezpieczeniowych. Nie chcąc dopuścić do gromadzenia się zaległości, które następnie trudno zapłacić jednorazowo, można, nie czekając na nakaz, wpłacać składkę na konto Ubezpieczalni w P.K.O., obliczając składkę według wyżej

JAKI KREM I JAK STOSOWANY!

Pytasz mnie o radę, kochana Zosiu, jednocześnie wyrażasz wątpliwość w jej skuteczność. Piszesz, że nie wierzysz w kremy „cudotwórcze”. Masz rację, niema cudów w zakresie kosmetyki, ale niewątpliwie istnieją racjonalne systemy pielęgnowania skóry. Mój system polega na stosowaniu dwóch kremów wyrobu M. Malinowskiego „Sportowego” i „Lanolinowego”. Pierwszego używam na dzień, drugiego na noc. Po starannem umyciu i osuszeniu twarzy wmasowuję w nią palcami niewielką ilość kremu. Masując, unikam prowadzenia palców w kierunku dołu, bo to sprzyja obłuzowywaniu tkanek. Zawsze ku górze! Na dzień przypudrowuję twarz „Pudrem Higijenicznym” M. Malinowskiego. Na noc tylko krem. Rezultaty są Ci znane! Wszystkie zazdroście mi mojej cery.

Warszawa, Apteka Nowy Świat 31, Lab. Chem. Farm. ul. Chmielna 4.

.....
podanej tabeli. Rzecz prosta, pracodawca obowiązany jest wpłacić całkowitą składkę ubezpieczeniową, t. j. również i część, przypadającą od pracownika, a którą ma prawo mu potrącić przy wypłacie wynagrodzenia. *Kryszyna Westerska.*

Taniej!
Wcześniej
W domu!

**NAJTAŃSZYM
w PRENUMERACIE**

wielkim dziennikiem stołecz. jest

**„Express
Poranny“**

Codziennie 8 — 10 — 12 wielkich
stronic ciekawych, barwnych,
żywo ujętych artykułów, opisów
feljetonów, informacji i wszech-
światowych wiadomości.

Liczne jedno i wielobarwne ilustracje.

PRENUMERATA MIESIĘCZNA
Z ODNOSZENIEM DO DOMU
LUB PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ

tylko 3 zł. 60 gr.

12 groszy dziennie **20-tu**
zamiast

*Prenumeratę zama-
wiać można telefo-
nicznie od każdego
dnia w miesiącu.*

Na prowincję egzemplarze oka-
zowe wysyła się bezpłatnie na
każde żądanie.

Adresy kantorów „Expressu Porannego”.
Warszawa, Jasna 10 lub Marszałkowska 3,
tel.: 8-02-40 i 693-72.

Z TEATRÓW

„Marja Stuart“ Schillera w teatrze Narodowym.

Z pośród wszystkich poetów romantycznych ten chyba najbardziej zasługuje na miano romantyka z ducha. Gloryfikacja najszlachetniejszych, choćby bezpłodnych porywów młodzieńczego entuzjazmu, irracjonalnego bohaterstwa w imię prawdy, nie w imię racji stanu, istotne „mierz siły na zamiary“ i „chwała zwyciężonym“ — oto jest oś twórczości tego genialnego rycerza romantyzmu.

I dlatego właśnie ponad romansowe, tematycznie tak bogate przeżycia Marji Stuart wyniósł nieskomplikowaną i w prostocie swej tragicznie przejmującą historję jej śmierci. Tylko bowiem ten okres mógł dać materiał do rehabilitacji Marji Stuart. Płocha, lekkomyślna, czarem swym innych i siebie spychająca w przepaść kobieta nie dorasta do swej godności w chwilach szczęścia i powodzenia. Dopiero klęska podwyższa ją, zamiast poniżyć; nieszczęście wydobywa z niej na jaw stygmat majestatu. Upokorzona bardziej jest jeszcze wspaniała, w więzieniu bardziej królową, niż na tronie. Ofiara niesłusznej zemsty jest moralną zwyciężczynią nie tylko swoich katów, ale i własnej słabości.

Potęgą duchowa Schillera i jego artystyczne mistrzostwo polega właśnie na tem stopniowym sublimowaniu uczuć ludzkich, które uwznioślają się w miarę, jak człowiek zstępuje w głąb nieszczęścia. Jego dno jest szczytem wlotu; droga, którą przez pięć długich aktów Marja Stuart nieodwołalnie zdąża ku śmierci, jest drogą jej udoskonalenia. Marja Stuart walczy zrazu rozpaczliwie o swój tron, wolność, życie, — w tej walce jest nam bliska, rozumiała, sympatyczna, współczujemy jej, wiedząc, że zginie, że zginąć musi. Ale gdyby Schiller ograniczył się do przedstawienia tylko tych bezsilnych szamotań się ptaka w klatce, dramat jego byłby żalnym trenem, przygnębiającą kroniką dramatyczną. Widz wychodziłby z teatru z przykrem wrażeniem dokonanego bezprawia na istocie niewinnej i słabej,



Malicka w roli Marji Stuart.



Panciewiczowa jako królowa Elżbieta.

nie więcej. Tymczasem tak nie jest. Bo ta słaba Marja, miotająca się bezradnie między pychą a pokorą, dopóki chodziło o jej życie doczesne, staje się olbrzymką, skoro trzeba wywalczyć sobie żywot wieczny, choćby kosztem męczeństwa.

Marja, niosąca dumnie swą głowę pod topór kata, odnosi największe zwycięstwo, do jakiego człowiek jest zdolny: przebaca swoim wrogom. Heroina romansu staje się bohaterką tragedji, — dionizyjska poganka oblubienicą Chrystusową.

Śmiertelny triumf Marji łączy się u Schillera z ideowym: triumfem katolicyzmu. W osobie Elżbiety poeta pogwałcił i zdyskwalifikował protestantyzm, identyfikując go z jej oziębłością uczuć, hipokryzją i obłudą. W młodzieńczej żarliwości nie zawahał się przed wprowadzeniem na scenę spowiedzi królowej i przyjęcia przez nią wiatyku. Moment ryzykowny, właśnie z punktu widzenia kultu katolickiego, dzięki subtelnemu ujęciu reżyserji i aktorów zachował właściwy nastrój i powagę.

Antagonizmy religijne, nierozłączne ze sprawą Marji Stuart, nie są jednak najpoważniejszym motywem dramatycznym utworu. Istotną jego osią jest problemat kobiecości.

Kto widział współczesne portrety Elżbiety i Marji, kto wniknął w potworną szpetotę pierwszej, szpetotę, której żadna charakteryzacja nie sprostą i boską urodę i czar drugiej, wobec której błędnie najpiękniejsza nawet aktorka, ten zrozumie, że żadna racja stanu nie mogła ocalić Marji przed zemstą Elżbiety, a każdy głos męski, podnoszący się w jej obronie, był jednym więcej gwoździem do jej trumny.

Elżbieta mści się na Marji nie za jej winy i występki, ale za swoją przymusową cnotę, nie za jej kochanków, ale za swoje nieuleczalne staropanieństwo. Wprawdzie w dziewictwo Elżbiety nie wierzy żaden z jej historycznych czy poetycznych biografów, ale mądra i przenikliwa Elżbieta musiała sobie zdawać sprawę z wartości afektów, kupionych blaskiem jej władzy, żądzą kariery lub poprostu grozą nieślaski. Marję, nawet upokorzoną i opuszczoną, otacza rzesza męskiego uwielbienia, — Elżbieta jest zawsze samotna. Ci, którym najbardziej zaufała (Mortimer), pod czarem Marji obracają się przeciw niej. Nawet śmierć znienawidzonej odbierze jej faworyta: z ciałem Marji

odpłyń do Francji jej niegdyś narzeczony, a później Elżbiety kochanek. Mózg i pleć — oto dwie potęgi, które zmagają się przed nami w osobach tych dwu królowych, walczących nie o koronę, ale o miłość. Ponad mętny nieco problemat winy i kaźni wybija się w Marji Stuart nieśmiertelny problemat płci. Dzięki niemu dramat w założeniu swem historyczny, nie przestaje być aktualnym dramatem psychologicznym. Tyle o jego wewnętrznej treści.

Jakaż była jej realizacja w teatrze Narodowym? Poprostu wspaniała. Zaczniemy od przekładu. Że Milaszewski mistrzowsko włada mową poetycką, o tem wiedzieliśmy już z jego poprzednich utworów, przedewszystkiem z przekładu Don Juana Zorilli. W Marji Stuart wznosił się jeszcze wyżej. Romantycznie bezładny i wybuchowy język Schillera w przekładzie polskim jakby zjedźniał i okrzepnął, nie tracąc nic na lotności i ekspresji. Wiersz nie nazbyt płynny, doskonale scharmonizowany z tożsami myśli i z rytmem oddechu, jakby stworzony do wygłaszania, otwiera przed aktorem olbrzymie perspektywy efektów głosowych, akcentów, pauz, przemilczeń. Umiejętne operowanie rytmem i asonansami, wprowadzającymi dyskretny akcent nowoczesności w archaizującą patynę stylu.

Trzeba zapisać na dobro naszych aktorów, że tych skarbów języka nie zmarnowali.

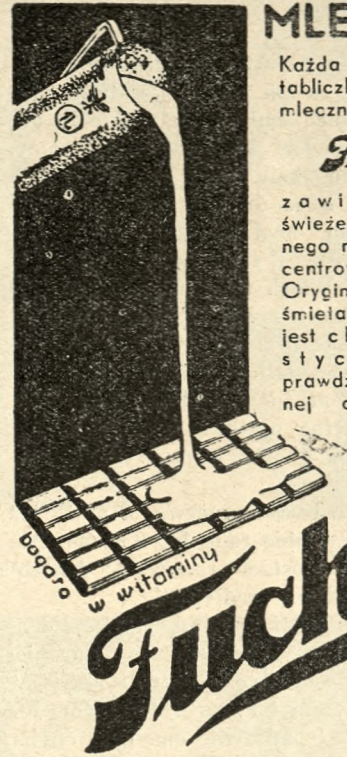
Szczególnie wykonawczyni głównych ról: Malicka i Pancewiczowa czyłowały każde słowo, jak klejnot. One też potrafiły z schillerowskich postaci wydobyć dynamiczną kobiecość. Spotkanie na łowach — ten jedyny w swoim rodzaju pojedynek dwu kobiet zmienił się we wspaniały akt rywalizacji dwu świetnych aktorek. Liryzm Malickiej walczył o lepsze z okrutną pychą Pancewiczowej. Niewiadomo, której przyznać pierwszeństwo. Obie były wspaniałe. Drobnie zastrzeżenie co do warunków zewnętrznych. Malicka na Marję jest może za nikła, zanadto dziewczęca, natomiast Pancewiczowa zbyt piękna na Elżbietę. O odrzynie wizycznej mowy niema. Odpycha nas od niej jedynie szpetota duchowa.

Męskie postacie zbladły wobec tych dwu gwiazd. Sawan jako Mortimer był raczej zakochanym paziem, niż rycerzem. Leszczyński zmanierował się widać na łowach salonowych lalusiów, bo jego hrabia Lester był zamało przekonywujący a w ostatniej scenie nawet nieco groteskowy.

Kto wie, czy nie należałoby skreślić zarówno tej sceny, jak wszystkiego, co następuje po odejściu Marji Stuart na śmierć. Zyskałby na tem efekt sceniczny, ale spaczona zostałaby myśl Schillera, któremu widać w równym stopniu chodziło o psychologję Elżbiety, jak Marji, skoro po triumfie skazanej musiał nam pokazać osamotnienie morderczyni.

S. P. O.

JEŚLI DZIECKO PANI NIE ZNOSI MLEKA...



Każda sługamowa tabliczka prawdziwej mlecznej czekolady

Fuchs

zawiera 1/3 litra świeżego niezbiernego mleka w skoncentrowanym stanie. Kryształny smak śmietanki i kremu jest charakterystyczną cechą prawdziwej mlecznej czekolady

Fuchs
w witaminie

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA

Ratyfikacja deklaracji polsko - niemieckiej. — Realność myśli politycznej Marszałka Piłsudskiego. — Poczucie pewności i spokoju. — Groza Wallace'owska we Francji. — Afekt Włoch dla Dolfussa. — Nowe Austro - Węgry i Habsburgowie na widoku. — Eden w podróży.

Jeżeli zaczniemy nasze resumé tygodniowe od ratyfikacji deklaracji polsko - niemieckiej o nieagresji, zaczniemy dobrze. Przez wymianę dokumentów ratyfikacyjnych w dniu 24 lutego wszedł bowiem w życie układ z dnia 26 stycznia b. r. Czem jest w chwili obecnej ten układ, wyjaśnia najlepiej oświadczenie p. ministra Becka, podane przez agencję „Iskra“. Pan minister powiedział między innymi:

„Jestem przekonany, że, jak to już w tekście deklaracji zostało wyrażone, rozpoczynamy nową epokę w stosunkach z Niemcami. Ze szczególną satysfakcją widzę w tym akcie dyplomatycznym przykład konstruktywnej pracy, przeciwstawiającej się fali pesymizmu, która tak łatwo w ostatnich czasach rozszerza się w stosunkach międzynarodowych. Je-



Vera Bobrowska, tegoroczna „Królowa Mody“, gustuje w modnych czekoladkach firmy Fuchs.

stem przekonany, że myśl polityczna Marszałka Piłsudskiego, wyrażona w polskiej polityce zagranicznej, stwarza najrealniejsze i twórcze elementy pokoju“.

Oświadczenie to nie jest tylko enuncjacja dla opinii zagranicy, ale ma szczególną wartość dla nas samych. Świadomość bowiem, że państwem polskim kieruje człowiek, którego każdy czyn jest rzutem w przyszłość, daje nam poczucie spokoju i pewności. Wiemy, że wysiłek teraźniejszości jest dobrze ulokowanym kapitałem, a tem żywiej to odczuwamy w chwili, gdy równowaga Europy doznaje coraz nowych wstrząsów. Nie jest to więc frazesem, że Polska jest dziś ostoją pokoju. Znamiennie dla ducha polskiego jest to, że jeden z największych mężów wojennych współczesności, Marszałek Piłsudski, stwarza dla Europy podstawy porozumienia międzynarodowego.

Mówiąc o wstrząsach, mamy na myśli zarówno Francję, gdzie paroksyzm niepokoju wewnętrznych jeszcze się nie skończył. Po krwawych rewoltach wraca znowu na porządek dzienny sprawa afer finansowych. Kryminalny, rzec można Wallace'owy, koszmarny przeszedł w stan zamachów. Ostatnio zamordowano sędziego Prince'a, który miał

prowadzić sprawę Stawiskiego. Wycho-
dzą najaw coraz nowe skandale i na-
tychmiast znowu zaciemnia prawdę jakaś
niewidoczna ręka. Są to już efekty gro-
zy.

Natomiast groza wiedeńskich dni układa
się w formy, że tak powiem, restytucyjne.
Italia w swoich zmiennych afektach, dar-
ząc dziś chłodem hitlerowskie Niemcy,
tak niedawno holubione w rzymskich
spotkaniach, teraz roztoczyła opiekę nad
faszystowskim neofitą, kanclerzem Au-
strii, Dolfussem. Z tych nowych afektów
politycznych Włoch wykluwa się w nowej
formie unja austriacko - węgierska z dość
prawdopodobnym marzeniem o Habsbur-
gach. Arcyksiążę Otto, wdzięczny i ukształ-
cony pretendent, już raczył zadziwić świat
swoją szlachetną postawą: — Nie wezmę
tronu gwałtem, obejmę tron, gdy mnie we-
zwą.

Ano, może być, że wezwą, a może też
być, że dadzą sobie radę bez Ottona. Ale
to nie zmieni postaci rzeczy, że Austro-
Węgry lada dzień „redivivi“!

Natomiast medjator angielski, Eden,
jeżdżąc rzemiennym dyszlem po Europie,
jeszcze nie pokazał, czy potrafi pogodzić
Berlin z Paryżem i Paryż z Rzymem. Je-
żeli nomen jest naprawdę omen, to chyba
nikt inny, tylko sam Eden może doprowa-
dzić do pokoju. Wilk wtedy legnie obok
jagnięcia i, jak tam jest dalej... H. N.

Z ŻYCIA EKRANU

KATARZYNA WIELKA, JAKO MAŁA
KASIA. — WALKA I PRACA.

Niewiadomo, jaka jest geneza ponow-
nej mody na filmy historyczne, ale fak-
tem jest, że nowa serja filmów „królew-
skich“ już się rozpoczęła. Prym wiodą w
niej kobiety: po wyświechtanej obecnie
„Katarzynie Wielkiej“, zobaczymy ją je-
szcze w jednej wersji (w wykonaniu Mar-
leny i reżyserji Sternberga), dalej pójdzie
Krystyna szwedzka, Marja Antonina,
podobno także — Kleopatra, słowem,
istny zjazd monarchiń, i tylko pa-
trzeć, jak jakieś pismo ogłosi konkurs na
„Królowę królowych“.

Narazie jednak zajmijmy się tą Kata-
rzyną Wielką, jaką mamy możliwość oglą-
dać obecnie w wykonaniu Elżbiety Berg-
ner i reżyserji Crinera i Kordy. Z racji
„Prywatnego życia Henryka VIII“ wspo-
minałam już o nowym podejściu reżyserów
do postaci i faktów historycznych. Daw-
niej, w filmach tego rodzaju, głównie cho-
dziło o wystawę, o widowiskowy charak-
ter obrazu, w którym postać historyczna
występowała w takiej formie, w jakiej
nam ją przekazały podręczniki szkolne,
a więc w formie schematycznej. Obecnie
dzieje się odwrotnie: na pierwszym pla-
nie stoi człowiek. Król czy władca ukazu-
je nam się przedewszystkiem od strony
psychologicznej, zdarzenia historyczne zaś
są dla niego tylko pretekstem do rozwi-
nięcia takich czy innych cech indywidual-
nych: człowiek stwarza fakty albo też o-
ne urabiają jego tak, jak się to dzieje
w życiu każdego śmiertelnika.

Katarzyna Wielka, taka, jaką widzi-

BEZSENNOŚĆ

wyniszcza organizm

a powstaje głównie wskutek zaburzeń
układu nerwowego. Sztuczne środki na-
senne nie działają na dłużej, a wywołują
stępienie i zanik wrażliwości nerwów.

Tylko zioła Magistra Wolskiego „Pasi-
verosa“ zawierają Kwiat Męki Pańskiej
(Passiflora) i idealnie łagodzą zaburzenia
systemu nerwowego (nerwicę serca, bóle
głowy, histerję), oraz sprowadzają krze-
piący sen, identyczny ze snem naturalnym.
Już po krótkim czasie stosowania cały sy-
stem nerwowy powraca do stanu normal-
nego.

Zioła ze znak. „Pasiverosa“
ochron.

Do nabycia w aptekach, drogerjach (skła-
dach aptecznych) lub w wytwórni: Magi-
ster Wolski, Warszawa, Złota 14. obja-
śniające broszury wysyłamy bezpłatnie.

my tutaj, odbiega daleko od wyobraże-
nia, jakie ma o niej przeciętny widz ki-
nowy. Nie jest to ani „Semiramida Pólno-
cy“, ani „kurtyzana na tronie“. Wprost
przeciwnie: jest przedewszystkiem kocha-
jącą i spragnioną miłości kobietą, jaką
znaleźć można wszędzie, w chatkach i pa-
łacach. Gdyby nie przypadek, który przez
małżeństwo z Piotrem, wmieszał ją w tę
wielką grę polityczną i wydobyl najaw
jej niepospolite zdolności, byłaby pewnie
typową niemiecką dobrą żoną i gospody-
nią.

Czy taka koncepcja Katarzyny Wiel-
kiej, jaką widzimy w tym filmie, zgodna
jest z prawdą historyczną? W zasadzie,
nic nas to nie obchodzi. Kino nie jest pod-
ręcznikiem historii, a dramatopisarz czy
scenarzysta ma prawo fantazjować na
każdy temat, byle myśl swą logicznie prze-
prowadził.

Tutaj, scenarzysta zrobił osią filmu
dzieje miłości młodziutkiej Katarzyny do
Piotra III, przedstawiając różne jej eta-
py, od egzaltacji młodej dziewczyny, ko-
chającej „na kredyt“ tego, kogo przezna-
czyli jej na małżonka, poprzez tęsknotę
kochanki do świadomej miłości kobiety,
której uczucie ma w sobie pierwiastek
macierzyński („Nikt go nie kocha, trze-
ba go kochać tem bardziej“ — mówi). To
też nawet olbrzymi triumf osobisty, pły-
nący ze świadomości, że naród pragnie
widzieć na tronie tylko ją, nie może zrów-
noważyc bólu, jaki odczuwa na wieść
o śmierci człowieka, który był dla niej
przecież tylko powodem nieustannej ud-
ręki, ale dla którego ona przez krótką
chwilę była „małą Kasią“.

Oto jest główna linja scenarjusza. Wy-
padki historyczne rozgrywają się tylko
na marginesie tej historii miłosnej i to
w ciągu kilku lat, zamiast — kilkunastu.
(Katarzyna, która w chwili zamachu stanu
była już kobietą trzydziestoletnią, tu-

OPRYSKIWACZE WERMORELA
NAJWIĘKSZY WYBÓR
NAJNI SZE CENY
HODOWLA I SKŁAD NASION
Inż. E. OSTROWSKI
WARSZAWA — PLAC MIROWSKI 4.
CHEMIKALJA — NAWOZY — NARZĘDZIA
DRZEWKA — RÓZE — BYLIŃY.
Cenniki opis. bezpłatnie. **Nasiona**

Dla ochrony przed grypą
zapaleniem gardła i zaziębieniem
używaj



Do nabycia we wszystkich aptekach.

taj jest o wiele starsza, niż w chwili przy-
bicia na dwór cesarski).

Jest to prawdopodobnie koncesja na
rzecz Elżbiety Bergner. Artystka ta mo-
gła zagrać tylko taką młodzieńką Kata-
rzynę, nie mając odpowiednich warun-
ków zewnętrznych na imponującą cary-
cę i czując się dobrze tylko w rolach
skomplikowanych, przeczulonych kobiet
współczesnych. Nie jest to też kreacja, do
jakich nas Bergner przyzwyczaila; ale i
w tej roli ta wielka artystka umie nas za-
interesować subtelną cieniowaniem i
przysłowiową już oszczędnością w środ-
kach ekspresji. Jaki piękny naprz. jest
moment ślubu, kiedy czuje się, że oblu-
bienica nie może już doczekać się chwili,
w której powtórzy słowa przysięgi. Albo
to przykucnięcie na stopniu balkonu. Kie-
dy wielkie wzruszenie odebrało jej siły.
Nie jest to wprawdzie odruch, jakiemu
powinna ulec Katarzyna Wielka, ale za
to jakże ludzki i jakże — kobiecy. Ber-
ner posiada tu specjalny dar słuchania:
gdy słucha i zastanawia się nad czemś,
widać, że mózg jej pracuje, że rodzi się
tam jakaś myśl, która za chwilę znajdzie
wyzwolenie w jakimś słowie czy geście.
Patrzmy więc na nią z niesłabnącem za-
jęciem, chociaż chwilami zdaje nam się,
że to nie Katarzyna, lecz... „Ariana“*).

Douglas Fairbanks (junior) jest god-
nym synem wielkiego ojca. W roli Pio-
tra III wykazał nietylko talent, ale dużą
inteligencję. Aktorowi niższej klasy grozi
tu niejedno potknięcie: pogodzić brak
opanowania Piotra i chorobliwą okrucień-
stwo ze słabością i chwiejnością charakte-
ru, a niczego nie przyjaskrawić i niczego
nie zatuszować, to sztuka nietatwa.

Realizacja filmu, chociaż nie ma tego iro-
nicznego nastawienia, które w „Prywatnym
życiu Henryka VIII“ miało tyle uroku i
tworzyło odrębny styl, jest jednakże in-
teligentna i kulturalna. Strona dekoracyj-
no-kostjumowa utrzymana jest w rozsąd-
nych granicach umiaru, z pamięcią o tem,
że jest tylko tłem i ramą dla ludzi, tłem,
w którym świetna fotografia raz podkre-
śla bizantyzm tak obecny i przerażający
młodą Katarzynę, to znów wydobywa
francuski polor wielkiego monarszego dwo-
ru, imponującego malej księżniczce An-
haltu. Ale ta mała Kasia, którą początko-
wo strachem przejmował ogrom wnętrza
pałacowych, wkrótce „dorośnie“ i wtedy
nawet ogrom Rosji nie będzie dla niej tak
wielki, aby go nie móc jeszcze... powięk-
szyć.

O ile w nowych filmach „historycznych“
dominuje miłość, o tyle w najlepszych fil-
mach na tle życia współczesnego miłość
schodzi na plan dalszy, ustępując miejsca

*) Film osnuty na powieści Claude
Ahnet'a, z Bergner w roli tytułowej.

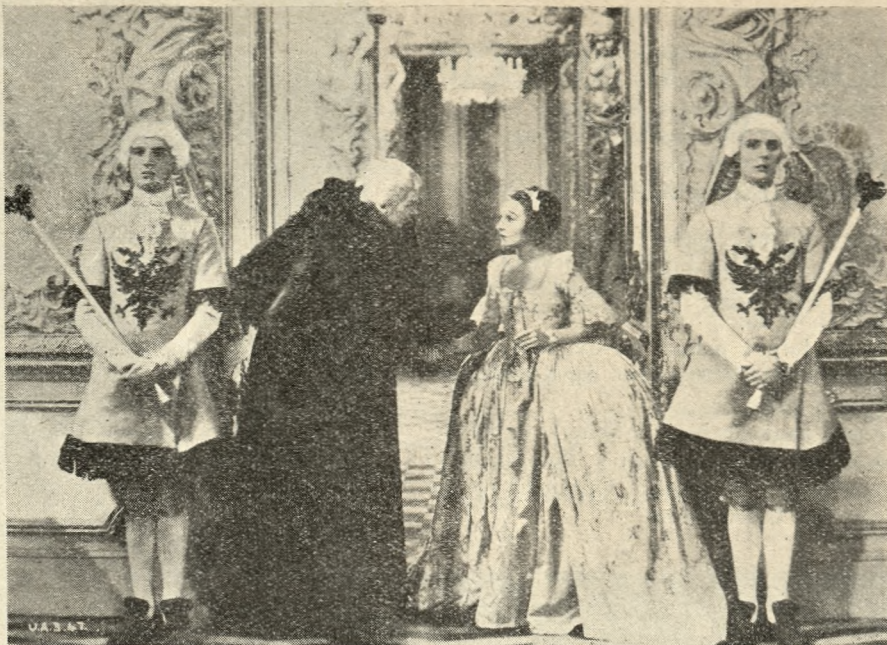
innym zagadnieniom, również „wiecznym“, a jednak bardziej aktualnym: walce i pracy.

Walka ta, na szczęście, nie jest walką z człowiekiem innej narodowości, innej rasy, czy innego obyczaju, lecz walką z warunkami atmosferycznymi, z ciemnością, z przestrzenią. Mówię o „Nočnym locie“ (wg. pięknej powieści Ant. de Saint-Exupéry). Film jest porywający: treść i realizacja. Dramat pioniera nocnych lotów poprzez kontynent południowo-amerykański (od Chili do Buenos Aires i Rio de Janeiro) oraz jego „ofiar“, lotników, których cyklon zapędza w wąwóz górski, lub znosi nad ocean, gdzie muszą ginąć. Wiele jest w tym patetycznej prozy, piękna i romantyzmu i wiele — wytrwałej, żelaznej woli do przezwyciężenia... nocy jako hamulca w życiu świata. „Świat nie może stawać w nocy“. Dlatego samolot 605 zginie, ale przecież inne doleczą. Akcja rozgrywa się jednocześnie w przestworzach i na ziemi, wspaniale zmontowana, zwarta, pełna siły, taka, jak ci ludzie mało-mówni, mocni, wiedzący wyraźnie, czego chcą i do czego dążą. Fotografje, a często i dźwięk, tworzą niezapomniane obrazy, że wymienię pierwsze lepsze — wylądowanie konia z cieniem samolotu, przelot nad rozświetlaną karuzelą, światła miasta, widzianego z góry, i tyle, tyle innych. Na równie wysokim poziomie artystycznym stoi gra aktorska: najwyższa prostota i najgłębiej przejmująca prawda. Taki jest John Barrymore, jako dyr. Rivière, i tacy są wszyscy, w mniejszych lub większych rolach. Film, który trzeba zobaczyć!

Ciekawym i dobrze zrobionym filmem, choć już bez tego romantycznego polotu, jest „Tunel“ (wg. powieści Kellermana), w realizacji K. Bernhardta. Scenariusz, dobrze zbudowany, uwidacznia oba wątki dramatyczne — opór przyrody przy budowie tunelu, mającego połączyć Amerykę z Europą, oraz niechęć sceptyków i zbrodnicze machinacje jednego z akcjonariuszów. Dziełem reżysera jest wytworzenie atmosfery, pełnej dynamiki, trzymającej widza w ciągłym napięciu, oraz zachowanie właściwego stosunku między scenami masowymi, a kameralnymi, w których dobrze naszkicowane są sylwetki bohaterów. Bardzo dobrym pomysłem reżyserskim jest pokazanie pierwszych etapów pracy przy tunelu w formie kroniki aktualności, z objaśnieniami speakera. Wspaniale wypadł wiec robotniczy: pokazanie rzeźniczkowanej masy i zastąpienie fotografii poszczególnych twarzy okrzykami, padającymi z tłumu, jest przeciwstawieniem się szkole sowieckiej, która przyzwyczaiła nas do innej konstrukcji takich scen. Efekt jest jednak niemniej ciekawy. Epizody paniki w tunelu i zdobywanie wagonu kolejowego przez robotników nie tylko są świetnie wyreżyserowane, ale mają też walory malarskie: operator „komponuje“ obrazy ze skłębionych ciał i „koloryzuje“ je, wydobywając efekty światłocienia z nagich, muskularnych ramion, na tle ciemnego wnętrza.

„Tunel“ i „Nowy lot“ należą do tych niezliczonych powieści, których wersje filmowe całkowicie dorównują oryginałom.

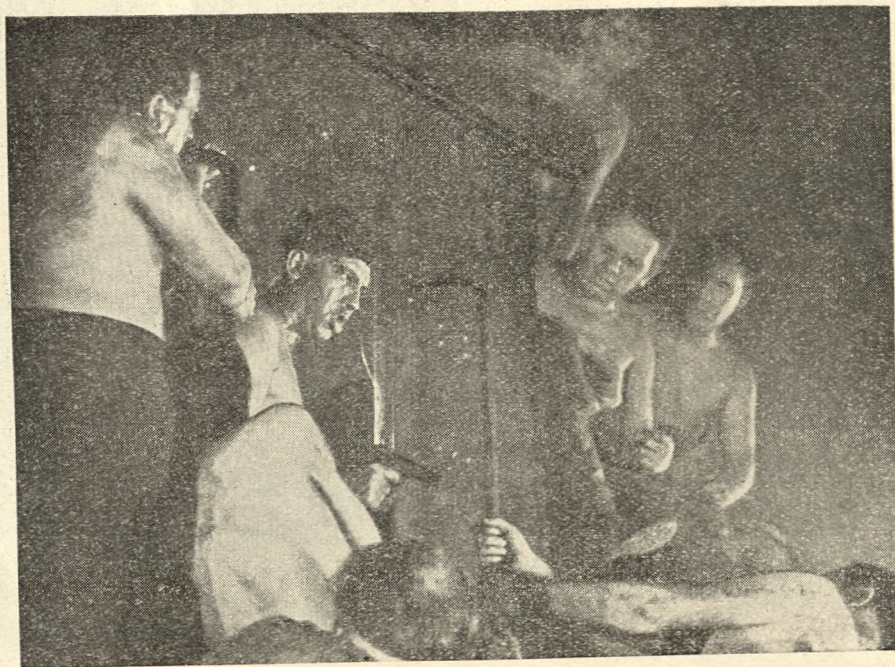
Stef. H.



Scena z filmu: „Katarzyna Wielka“.



Scena z filmu: „Nocny lot“.



Scena z filmu: „Tunel“.

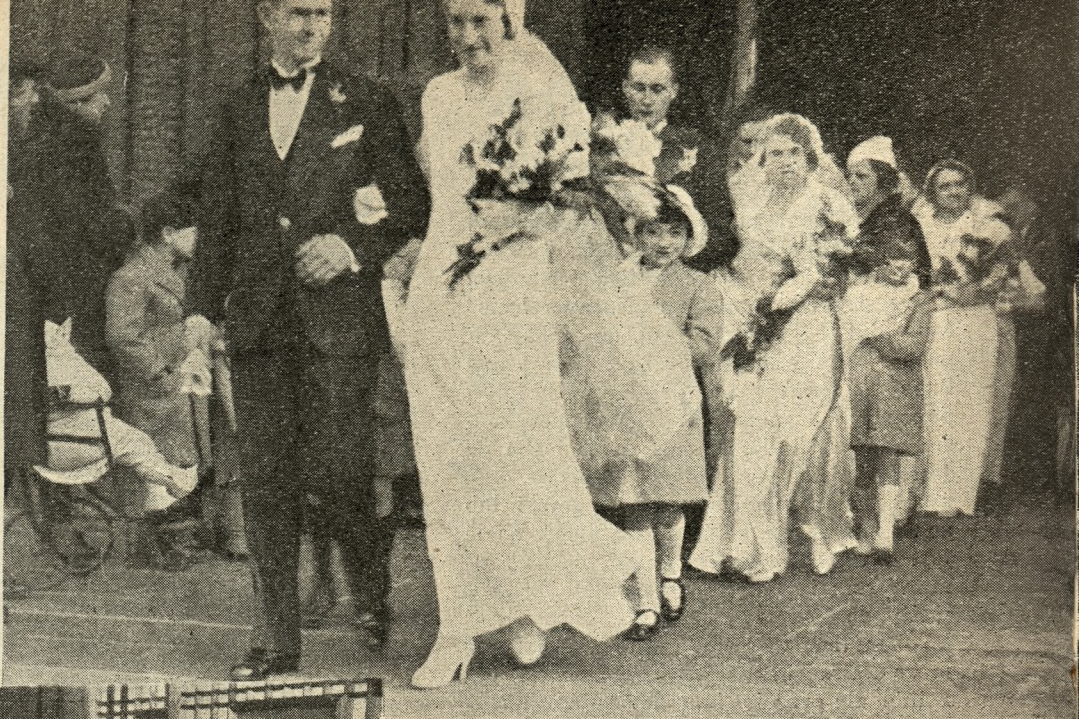
KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

TRZY KRZYŻE LEGJI HONOROWEJ.

Trzy kobiety zostały niedawno udekorowane Krzyżem Legji Honorowej Ministerstwa Wychowania Narodowego we Francji. Są to:

Pani Joly i panna Auroy, inspektorki szkół macierzyństwa w departamentach Rhône i Seine.

Oraz pani Herbinière-Lebert, dyrektorka szkoły macierzyństwa w Paryżu, przewodnicząca Komitetu Organizacyjnego Kongresu Dzieciństwa.



ŚLUB „DZIEWCĘTA MARJI“.

Trzy „dziewczęta Marji“ z Saint Denis, pp. P. Greco, Helena Houdonin i Marja Taret wzięły jednocześnie ślub. Widzimy je w momencie opuszczenia Bazyliki po uroczystym obrzędzie.

MISTRZYNI EUROPY W STYLOWEJ JEŹDZIE NA NARTACH.

W drugim dniu zawodów narciarskich w St. Moritz, miejsce mistrzyni Europy w jeździe stylowej zdobyła Christl Crauz z Freiburga.

AFRYKA I AZJA ŁĄCZĄ SIĘ WĘZŁEM MAŁŻENSKIM.

Na zdjęciu widzimy narzeczoną księcia Abissynji Araya Abeka w towarzystwie swoich rodziców, hrabiego i hrabiny Korodo w Tokjo.

KOBIETY W ANGIELSKIEJ SŁUŻBIE DYPLOMATYCZNEJ.

Sekretariat angielski ministerstwa spraw zagr. opracowuje obecnie projekt powołania kobiet do angielskiej służby dyplomatycznej i konsularnej. Obrady w tej sprawie uznano jednak i razie za poufne, a referaty przedłożone będą tylko ustnie.

PIERWSZA KOBIETA KAPITANEM MARYNARKI W TURCJI.

W Turcji już od trzech lat istnieje Szkoła Marynarki dla kobiet, gdzie młode dziewczęta przechodzą teoretycznie i praktycznie naukę służby morskiej.

Kadetki marynarki co roku spędzają 6 miesięcy na morzu. Z końcem każdego roku zdają egzamin. Trzeciego roku mogą wreszcie otrzymać dyplom ukończenia szkoły.

Niedawno p. Halina Seurd, która już zagranicą studjowała marynarkę, po złożeniu egzaminu otrzymała dyplom oraz tytuł instruktorki Szkoły Morskiej dla kobiet.





KONDUKTORKI TRAMWAJOWE W TOKJO.

Towarzystwo tramwajów elektrycznych w Tokjo zaangażowało dwieście kobiet w charakterze konduktorków tramwajowych. Na zdjęciu widzimy przyszłe konduktorki na kursie przygotowawczym.

Z ADWOKATURY DUNSKIEJ.

W Danji, na zasadzie nowej procedury sądowej, adwokat, dla uzyskania prawa wnoszenia w pewnych specjalnych sprawach skarg do trybunału II instancji, musi uzyskać od tych trybunałów zaświadczenie, iż, pełniąc swe obowiązki zawodowe przez pewną ilość lat, posiadał pełną znajomość procedury prawnej.

Pierwszym adwokatem, który to świadectwo otrzymał, jest kobieta, p. Ingeborga Hansen, członkini biura międzynarodowego Związku równouprawnienia i pracy polityczno - społecznej kobiet.

ULUBIENICA AMERYKI W NIEBEZPIECZEŃSTWIE.

Mary Pickford, jedna z najpopularniejszych gwiazd filmowych, po otrzymaniu szeregu listów z pogróżkami od pewnej tajemniczej pary, otrzymała straż przyboczną w osobie oficera Ralfa Erskine, w którego towarzystwie widzimy ją na fotografii.



KOBIETA, KTÓRA ZNA OCZY TYSIĄCA ZWIERZĄT.

Miss B. Lempoi w Los Angeles pracuje w dużym zakładzie wypychania zwierząt, jako specjalistka od dobierania oczu dla właściwego okazu. Zna tysiące oczu zwierzęcych, począwszy od oka, wielkości główki od szpilki, kończąc na tak dużych, jak mały spodeczek.

KARCZOCHY

Karczochy — to roślina, zasługująca na szerokie rozpowszechnienie. Nadaje się szczególnie do małych, podmiejskich ogródków, bo może zastąpić krzewy w trawniku. Umiejętnie pielęgnowana, dochodzi do przeszło metrowej wysokości, tworząc rozłożysty krzak. Mięciernie powycinane liście, o przedziwnym, zielonawo-srebrnym kolorze, i wielkie paki kwiatowe, nie mówiąc już o rozwiniętych kwiatostanach, czynią z karczocha roślinę, nadającą się zarówno do dekoracji, jak i do użytku.

Jako jarzyna, umiejętnie przyrządzona, daje wykwintne danie, bogate w wartości odżywcze i bardzo cennie przez smakoszy.

Uprawiana na szerszą skalę, wprowadziłyby rozmaitość do naszych jadłospisów jarzynowych, które skutkiem konserwatywności zarówno konsumenta, jak i producenta, są u nas naogół ubogie.

Karczochy uprawiane są dla główek kwiatowych, które używamy, dopóki są jeszcze niedojrzałe. Jadalne są: mięsisty osadnik i nasadowa część pokrywki kielicha.

Z pośród licznych odmian do naszych warunków najlepiej się nadają:

1) Laońskie — zielone, dające pęki o dużych, tępych, a mięsistych łuskach.

2) Paryskie — fioletowe, które mogą być spożywane na surowo i przy wszelkich kuracjach surówkowych. Dają pożywny, a smaczny posiłek. Na surowo jada się karczochy, przygotowano octem, oliwą i pieprzem.

3) Laońskie — ulepszone, bez kolców; krzaki do półtora metra wysokie. Dają kwiatostany grube, o szerokich łóżykach nasadowych. Odmiana ta ma jeszcze i tę zaletę, że się nie wyradza.

Sama hodowla nie jest trudna, wymaga jednak troskliwej opieki nad roślinami. Nieco trudniejsze jest przechowywanie zdrowo krzaków przez zimę.

Sadzimy karczochy w miejscach zasłoniętych od wiatrów (zwłaszcza północnych) o dobrej słonecznej wystawie. Ziemia musi być pożywna, pulchna i głęboko uprawiona. Lepiej się udają na ziemiach lżejszych, obficie znawożonych, niż na ciężkich glinach. Na ziemiach wilgotnych rosną może lepiej, niż na ziemiach suchych, ale wtedy przezimowanie jest często prawie niemożliwe, bo karczochy nie znoszą wilgoci w zimie i często od niej giną.

Rozmnażamy je albo z nasienia, albo z pędów korzeniowych, wyrastających obficie ze starszych roślin.

Jeśli koniecznie pragniemy otrzymać szyszki kwiatowe tego samego roku, należy nasiona wysiewać możliwie wcześniej. Styczeń, luty — to najlepsza pora. Wysiewamy nasiona namoczone przez 24 godz. w miękkiej wodzie, do ciepłego inspektu. Wschodzą między 8-ym a dwunastym dniem. Gdy roślinki mają po 2 liście, oprócz liścieni, przesadzamy je do małych doniczek, które zagłębiamy po krawędź w inspeckie. Zabieg ten powtarzamy jeszcze dwa razy, mniej więcej co trzy tygodnie, sadząc do coraz większych doniczek. Inspekty wiétrzymy starannie, bo karczochy nie znoszą wilgotnego zaduchu i w miarę możliwości hartujemy młode roślinki. W maju wysadzamy karczochy na grzędę, wybierając z doniczek ostrożnie, aby możliwie najmniej uszkodzić korzonki, t. zn., aby przerwę w rozwoju zmniejszyć do minimum. Tak prowadzone rośliny powinny dać już w jesieni pierwszy zbiór.

Inspekt można zastąpić słonecznym oknem. W pokoju dają się wyhodować przepiękne flance.

Drugi sposób polega na wysiewaniu w końcu 3 — 4 sztuk nasionek wprost w grunt. Nasionie starannie podlewamy i ziemię trzymamy pulchno, nie dopuszczając nawet śladu zielska. Gdy roślinki powschodzą, jedną z nich, najsilniejszą, pozostawiamy na miejscu, a inne przesadzamy. Przesadzone roślinki cieniujemy przez kilka dni pomocą kapeluszy z papieru i podlewamy obficie.

Rozmnażanie z pędów korzeniowych odbywa się na wiosnę, przeważnie w drugiej połowie maja. W tym celu odgrzebujemy ostrożnie ziemię dokoła krzaka i odkrywamy młode pędy u samej nasady. Obrywamy odrostki jak najmniej, zostawiając matecznikowi przynajmniej 4 — 5 najsilniejszych pędów. Odłamki należy uskutecznić możliwie jak najostrożniej, wraz ze zgrubiałą nasadą i przynajmniej jednym korzonkiem. Po odjęciu odrostków ogarniamy ziemię zpowrotem i obcinamy dokładnie przy roślinie. Pozostawienie luk przy korzeniach mogłoby zgubić starą roślinę.

Odcięte odrostki wysadzamy na poprzednio przygotowaną, dobrze znawożoną, słoneczną grządkę. Jeśli rozporządzamy opróżnionymi po wczesnych uprawach skrzyniami inspektowymi, dobrze jest zużytkować je do tego celu. Ukorzenie idzie wtedy znacznie szybciej.

Wysadzanie uskuteczniamy możliwie ostrożnie, aby jak najmniej naruszyć korzenie. W dolku korzonki rozkładamy równo, uważając, aby się nie zaginały ku górze.

Karczochów nie należy sadzić za głęboko, bo tego nie znoszą. Naokoło każdej rośliny ziemię mocno obciskamy i formujemy spory dołek (misczka) do podlewania.

Dalsza pielęgnacja polega na utrzymaniu ziemi czysto i pulchno, na podlewaniu w czasie suszy; zasilanie nawozami sztucznymi, lub też gnojówką rozcieńczoną po połowie z wodą. Wpływa to znakomicie na ilość i wielkość kwiatów.

W październiku, jeszcze przed nastaniem przymrozków, w czasie pogodnego dnia (może być wietrzny, byle suchy) ścinamy całą roślinę na 10 cm. od ziemi. Przy tej robocie posługujemy się bardzo ostrym nożem; ranę trzeba zasypać natychmiast sproszkowanym węglem drzewnym. Powinna ona w ciągu kilku dni obeschnąć. Tak pozostawiamy roślinę jak tylko można najdłużej i dopiero, gdy temperatura spadnie do zera, przykrywamy ją suchym piaskiem, lub trocinami. Na to dajemy kosz, lub, co lepiej, pakę drewnianą. W czasie bardzo silnych mrozów nakrywamy jeszcze wszystko liśćmi, igliwem, lub słomą. Jeżeli w ciągu zimy nastaną dni łagodniejsze, zewnętrzną przykrywkę usuwamy, a kosz lub skrzynię uchylamy, aby roślinę przewietrzyć; z nadzieją jednak mrozów natychmiast zabezpieczamy.

Zresztą, karczochy u nas częściej giną od wilgoci, niż od zimna, i o tem należy pamiętać.

Niektórzy radzą przechowywanie karczochów w suchej piwnicy. W tym celu po ścięciu lodyg i zaschnięciu ran, wykopujemy ostrożnie rośliny z korzeniami i umieszczamy je w piwnicy, zakopując w piasku. W czasie zimy, co jakieś 5 tygodnie, kontrolujemy stan skarp i usuwamy każdy najlżejszy ślad pleśni. Wietrzmy zaś piwnicę możliwie najczęściej. Na wiosnę, (w końcu kwietnia) po odjęciu pędów na dalsze rozmnażanie, sadzimy karczochy w grunt, w zaprawione dolki, koniecznie na tej samej głębokości, w jakiej rosły poprzednio. Zasadzone za głęboko — giną.

Zakładając plantacje karczochów, sadzimy je co 120 cm. we wszystkich kierunkach. Sadząc zaś pojedyncze grupy, możemy dawać po trzy sztuki, odległe od siebie o 50 cm. Działo to może cokolwiek ujemnie na plon, ale np. na trawniku, czy nawet na środku klombu, daje śliczną całość.

Przy sprzyjających warunkach, umiejętnej i starannej pielęgnacji, karczochy mogą trwać do ośmiu lat w tem samym miejscu.

Marzenna Saryusz-Stokowska.

TUCZENIE DROBIU

Przed Wielkanocą istnieje wielkie zapotrzebowanie na wszelkie ptactwo, ale dobre ceny osiągają tylko sztuki należycie wykarmione. Dziś wobec wielkiej konkurencji coraz trudniej znaleźć nabywcę na gnaty, pokryte skórą i ochrzczone szummem mianem kury, czy kaczki.

Racjonalne opasanie drobiu, to stanowczo zaniedbana gałąź naszego gospodarstwa, na którą się powinno zwrócić baczniejszą uwagę. Stosunkowo często jest stosowane tuczenie gęsi i ponieważ jest ono powszechnie znane, nie będę się o niem rozpisywać. Natomiast chcę podać kilka zasadniczych wskazówek opasania kur, kogutów, perlic i kaczek.

Należy pamiętać, że najłatwiej tuczą się dwuletnie kury i perlice. Bardzo stare do tego celu się nie nadają, gdyż tuczenie ich wyjątkowo tylko wytrzymuje kalkulację.

Jeśli chodzi o kaczki, to najlepsze do tego celu będą sztuki z zeszłorocznych lęgów, bo u tych opas pójdzie najszybciej i mięso ich będzie najdelikatniejsze, ale ponieważ kaczki mają niejako przyrodzoną „skłonność do tycia”, więc tu może się opłacać nawet tucz wybrakowanych kaczorów i wyniesionych kaczek, niestarszych jednak, jak trzyletnie, gdyż te potem dają wprawdzie duży osad tłuszczu, ale mięso ich jest twarde, łykowate i niesmaczne.

Tuczenie kaczek i perlic trwa przeciętnie trzy do czterech tygodni, tuczenie zaś kur i kogutów około dwóch. Tutaj zaznaczyć należy, iż stary kogut nigdy się porządnie utuczyć nie da i zarzucone od jakichś dwudziestu lat kapłonie znów wraca, gdyż zwłaszcza przy opasaniu daje doskonałe rezultaty.

Istnieje kilka zasadniczych prawideł tuczenia, które obowiązują przy wszystkich opasach, a więc:

1) Do tuczenia nadają się jedynie sztuki bezwzględnie zdrowe.

2) Opasy, bez względu na to, czy siedzą w klatkach, czy też chodzą na wolności, muszą mieć zupełny spokój, t. zn., że nie mogą być niepokojone straszaniem, biciem, krzykami. Poszczególne płcie powinny być oddzielone, aby nie przychodziło do walk między osobnikami męskimi.

3) Obowiązuje wielka czystość: podściół musi być wraz z pomiotem codziennie zamiatany i zastępowany świeżym.

4) Dla ułatwienia trawienia niezbędny jest dla wszystkich ptaków dodatek składników mineralnych,

który się znajduje w odpadłym tynku, gruzie wapiennym, tuczonoj cegle, drobnym miele węgla drzewnego i t. p., oraz woda lub mleko do picia poddostatkiem.

5) Karmić można jedynie paszą zupełnie świeżą. Po każdorazowym zadaniu karmy miękkiej korytka muszą być wymyte i wyczyszczone, bo inaczej karma w nich kwasicie.

6) Opasom nie daje się grząd, tylko zmusza się je wbrew ich naturze do siedzenia na ziemi.

7) Należy chronić ptactwo przed pasorzytami, t. zn., że przed tuczeniem trzeba je możliwie z nich oswobodzić przez rozpylenie podskrzydła pyłu wapiennego lub, co wygodniej, kwiatu siarkowego. Kurniki i gniazda muszą być doskonale wyszorowane i wybielone mlekiem wapiennym.

8) Każdy gatunek drobiu tuczymy osobno.

9) Zwłaszcza przy końcu tuczenia opasy są bardzo wydelikaczone i łatwo zatuczyć na śmierć, to też należy pilnie uważać na zachowanie i wygląd poszczególnych sztuk. Bowiem przybieranie na wadze jest cechą indywidualną i jedne sztuki tuczą się szybciej, inne wolniej.

10) Tucząc, należy pilnie rachować, wiele czego się wydaje i co to kosztuje, aby potem nie stanąć przed niespodzianką, że się tuczenie nie opłacało. Każda gospodyni musi się doskonale orjentować zarówno w ilościach paszy, która na tucz idzie, jak i w przybliżonych cenach, jakie za swój drób może otrzymać. Mając na uwadze te 10 punktów, można się śmiało zabrać do tuczenia.

A teraz trochę uwag o indywidualnym tuczeniu poszczególnych gatunków. Kury i kapłony tuczy się najlepiej ziarnem, podawanem im w dowolnej ilości trzy razy dziennie, do picia najlepiej maślanek, w ciągu trzech do czterech tygodni powinny doskonale przybrać na wadze.

Przymusowe karmienie trwa dwa tygodnie i polega na umieszczeniu ptaka w ciasnej klatce, t. j. takiej, aby się w niej nie mógł obrócić. Karmi się trzy razy dziennie kluskami zarobionymi z mleka, mąki owsianej, kukurydzanej, jęczmiennej i prosa oraz odrobiny masła.

Na 1 kurę bierze się 5 dk. mąki owsianej, 5 dk. kukurydzanej, 5 jęczmiennej i 5 dk. zmielonego razem z łuskami prosa i 1 dk. masła lub szmalcu.

Wszystko to razem zarabia się słodkim mlekiem, aby się uformowało twarde ciasto, robi się z tego maleńkie klusieczki, rozdziela na trzy części i rano, wieczór i w południe zadaje kurom poprostu do



Do nabycia we wszystkich aptekach

gardła. Nie należy robić większego, niż na jeden dzień zapasu tych klusek, gdyż łatwo kwaśniejają i stają się niezdrowe. Jako napój służy woda lub maślanek w takiej ilości, aby ptak mógł się napić, wiele razy ma pragnienie.

Perlic przymusowo nie da się tuczyć, gdyż ptak ten jest przywiązany do wolności, iż gdy go zamkną, już po kilku dniach zdycha. Na swobodzie natomiast tuczą się perlice bardzo łatwo. Tuczmy je przy pomocy gotowanych kartofli z osypką z rozmaitych pozostałości zbożowych.

Marzenna Saryusz-Stokowska.

ODPOWIEDZI DZIAŁU OGRODNICZOHODOWLANEGO.

P. Z. Obrąpalska — Warszawa. — Na jedno okno inspektowe należy wysiać około 5 gr. lewkonji, zaś astrów i goździków około 10 gr. O ile rośliny następnie się pikuje, siew może być gęściejszy o 20 proc. Lewkonje należy siać w ziemię piaszczystą i przykryć cienko piaskiem, podlewać ostrożnie.

Do wyrobu likierów nadaje się przede wszystkim mięta pieprzowa i kanadyjska. Mięta lubi ziemię urodzajną i wilgotną. Najlepszym nawozem pod miętę jest kompost lub dobrze przegniły obornik. Ziemia musi być głęboko spulchniona.

Rozmnaża się miętę z rozłogów, wysadza się je co 15 cm. w kwadrat. Najlepiej sadzić w czasie wilgotnym i dżdżystym, bo wtedy unika się kłopotliwego podlewania. Utrzymywać należy rolę czysto i pulchno. Dobrze pielęgnowana mięta może dać trzy pokosy do roku. Pokosy suszy się jak siano. Już podsuszone układa się w kuczki lub suszy na strychu.

Mięta daje się również rozmnażać z nasion, ale to jest o wiele kłopotliwsze.

M. S. S.

DOM I GOSPODARSTWO

WYRÓB MYDŁA

W normalnych warunkach wyrób mydła w domu nie może się opłacać, ale dziś, w okresie kryzysu, gdy wiejskie gospodarstwa żyją przede wszystkim pod hasłem samowystarczalności, mogą nie jednej gospodyni przydać się przepisy, które poniżej podaję. Oczywiście mydłom tym daleko będzie do kupnych, wyrabianym systemem fabrycznym, w specjalnie do tego celu wymyślonych aparatach i maszynach. Jeśli jednak dokładnie wykonamy przyrządzenie masy mydlanej, to zastąpi nam ono doskonale kupne mydło, zwłaszcza mydło do szorowania i prania grubej bielizny.

Jeśli do wyrobu mydła używamy tłuszczów, (a te są podstawowym surowcem przy wyrobie mydła) wyprodukowanych we własnym gospodarstwie, robota ta opłaci się nam napewno, jeśli natomiast trzeba go kupić, należy sobie doskonale przekalkulować, aby nie stanąć przed niespodzianką, że wyprodukowane w domu mydło wypadło nam drożej, niż kupne.

Nie można tu podać żadnej recepty, bo wszystko zależy od miejscowych warunków. W wielu miejscowościach można różne tłuszcze nabywać za bezcen w rzeźni, w dużych gospodarstwach często padnie jakaś sztuka, wtedy tłuszcz z niej można przerobić na mydło. Tam, gdzie są duże ilości owiec i gdzie się dużo tego mięsa spożywa, zostaje zwykle sporo tłuszczu, który daje wyborne mydło. Tam, gdzie uprawiają soję, tę błogosławioną roślinę, tam tłoczonych z niej olej kalkuluje się tanio i wyrób mydła doskonale się opłaca.

Przedewszystkiem trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie, co to jest mydło?

Mydło jest to związek jednego lub kilku kwasów tłuszczowych z alkalijskimi; otrzymujemy je przez gotowanie tłuszczów roślinnych lub zwierzęcych z ługiem potasowym lub sodowym. Do wyrobu mydła nadają się wszystkie stałe i płynne, zarówno zwierzęce, jak i roślinne tłuszcze. Mogą więc tu znaleźć zastosowanie: łój wołowy lub barani, tłuszcz koński, jeleni szmalec, oraz wszelkie tłuszcze rybne, a nawet i sadło zajęcze lub borsucze. Z tłuszczów roślinnych użyć możemy wszelkich olejów z sojowym na czele. Na mydło możemy użyć wszelkich tłuszczów nawet najbardziej zepsutych, bo przy zmydłaniu nie gra to żadnej roli. Tłuszcze zwierzęce przed użyciem topi się, odrzucając skwarki, które z korzyścią można skarmić ptactwem domowym.

Oprócz tłuszczów będą nam potrzebne: soda kaustyczna, soda zwykła, potas, wapno, szkło wodne, sól, kalafonja, oraz woda.

Wyżej wymienione produkty mają na składzie wszystkie sklepy apteczne i większe mydlarnie.

Gotowanie mydła jest dużą i dość pracovitą robotą, to też, przystępując do niej, należy sobie z góry przygotować wszystko, co będzie nam potrzebne w odpowiednich poniżej podanych ilościach.

Gotować należy mydło w bardzo wielkich naczyniach, t. zn., że, jeśli przygotowujemy 10 l. mydła, to garnek musi być przynajmniej 20 l., gdyż gotujące mydło kipi i zbiega w przerażający sposób. Najlepiej do tego celu nadają się duże, wysokie żelazniki z białą niepopękaną emalją. Trzeba mieć odpowiedniej wielkości kopyść, bo gotujące się nawet na bardzo wolnym ogniu mydło wymaga starannego i nieustannego mieszania ode dna.

Ugotowane mydło zlewa się do odpowiednich form, zwykle płaskich, drewnianych skrzyneczek, zbitych z cienkich deseczek. Na dnie takiej skrzyneczki wierci się świderek kilkanaście dziurek, wyściela się ją grubym płótnem i wlewa w nią przestygłą, ale jeszcze całkiem płynną masę mydlaną. Pod skrzyneczkę podstawia się inne naczynie, do którego mógłby spłynąć ług mydlany. Gdy mydło dobrze zastygnie, wyrzuca się go z formy, kroi od razu na odpowiedniej wielkości kawałki i osusza w przewiewnym miejscu. Pozostały ług przyda się do szorowania koryt, podłóg i t. p. porządków.

Poniżej podaję kilka sposobów gotowania mydła, wypróbowanych u siebie w domu podczas wojny.

Mydło zwykłe. Bierze się 5 kg. wapna palonego niegaszonego i polewa się je taką ilością wody, aby wapno rozsypało się na proszek, dodaje się do tego 5 kg. palonej sody i dolewa się 20 l. gorącej wody, miesza się doskonale i odstawia na bok, aby się ustąpiło i sklarowało, zwykle potrzeba na to około 15 godzin. Po tym czasie zlewa się płyn do drugiego naczynia bardzo ostrożnie, aby go osadem nie zmącić. Do pozostałej na dnie naczynia masy dolewa się znów 8 l. wrzącej wody i zostawia znów 15 g. w spokoju.

Następnie zlewa się ten ług znów ostrożnie do drugiego garnka (osad wyrzuca się na kompost, który tym sposobem wzbogaca się w składniki mineralne).

Do wysokiego sagana kładzie się 3 i pół g. tonionego łaju i nalewa się pierwej zlanym, t. zn. mocniejszym ługiem. Płyn ten gotuje się na

wolnym ogniu 4 i pół godziny, ciągle dolewając w momencie kipienia po pół kwarty drugiego, słabszego ługu. Gdy płynu ubędzie więcej niż połowa, dosypuje się 60 dk. zwykłej kuchennej soli i z nią gotuje się jeszcze mydło 1 i pół godziny. Po tym czasie masę o gęstości dobrej śmietany zlewa się do wyżej opisanych skrzyneczek.

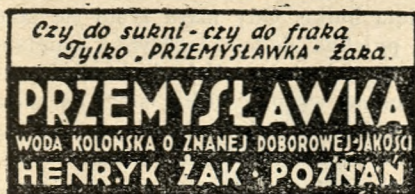
Gotowanie mydła innym sposobem. 5 kg. tłuszczu i 2 i pół ługu sodowego (po niskiej cenie sprzedają mydlarnie i drogerje) podgrzewa się aż do momentu wrzenia na ogniu. Następnie odstawia się na 12 godzin. Na drugi dzień gotuje się tę masę 5 godzin na równym, dość mocnym ogniu. Po tym czasie wysypuje się 30 dk. soli. Zadaniem soli jest strącenie mydła, t. j. oddzielenie go od ługu. Gotować z solą trzeba tak długo, dopóki się ług od mydła nie oddzieli. Proces ten trwa zwykle około dwóch godzin. Dla sprawdzenia, czy masa ma już dosyć, wylewa się jej odrobinę na talerzyk i gdy stężeje, jako jednolita masa i nie okazuje żadnego miejsca ługowego, mydło gotowe, w przeciwnym razie trzeba ją jeszcze podgotować.

Mydło do szorowania twarde. 10 l. ługu zrobionego jak w przepisie pierwszym lub ługu z popiołu drzewnego, 1 kg. ługu sodowego, 1 kg. tłuszczu i 1 kg. kalafonji gotuje się 4 godzin, mieszając, aby nie wykopiało. Potem dodaje się ćwierć grama soli kuchennej i gotuje się aż do zmydlenia się tłuszczu, t. zn. oddzielenia się jego od ługu, następuje to w momencie, gdy na powierzchni nie widać oczek tłuszczu. Garnek się odstawia, zastygnie krąg mydła na wierzchu, który się zdejmuje na drugi dzień i zaraz kroi.

T. zn. „szare mydło“ miękkie. 5 kg. oliwy, oleju, lub łaju, 1 kg. ługu sodowego i 4 l. ługu zwykłego z popiołu drzewnego miesza się razem i gotuje 3 godziny. Gdy mydło stanie się przezroczyste i gęste, znaczy, że gotowe.

„Szare mydło“ bez gotowania. Przygotowanie tego mydła wymaga kilku tygodni, ale pozwala zużytkować wszelkie odpadki tłuszczowe w miarę, jak się w gospodarstwie gromadzą. Potrzebne tu będą dwie beczułki o mocnych obręczach, do jednej będziemy składać topiony tłuszcz w miarę, jak go będziemy mieli, a w drugiej ług drzewny lub zrobiony według pierwszego przepisu.

Tłuszcz zalewa się ługiem w takiej ilości, aby ten był zawsze nim objęty i gdy się dokłada tłuszczu, dolewa się ługu. Mieszać należy do-



skonale ode dna dwa razy na dzień. Gdy się beczulkę napelni, odstawiamy ją w spokojne miejsce na jakie 6 tygodni. Po tym czasie ług powinien tłuszcz zupełnie rozpuścić i zamienić go w jednolitą masę. Mydło to ma takie samo zastosowanie, jak i zwykle szare mydło i ma zwykle białawą barwę.

Łatwy sposób przyrządzania mydła. 1 kg. ługu sodowego zagotowuje się z 2 l. wody. Dodaje się 1 i pół kg. tłuszczu i zagotowuje razem; z tłuszczu robią się krupki, jakby gruba kasza, wtedy wlewa się 10 l. wody i gotuje, mieszając, 3 godziny, potem dolewa się potrochu raz jeszcze 10 l. wody i gotuje 2 godziny, poczem się odstawia, aby zastygło, następnie zdejmuje się krąg z garnka i odpowiednio kroi się mydło.

Mydło toaletowe. Mydło, przygotowane według tego przepisu, mało się różni od dobrych mydeł do mycia. Dla zapachu dodaje się do gotowego i odrobinę przestygłego piynu mydlanek kilkanaście kropel olejku z odpowiednim zapachem. Tłuszcz, użyty do wyrobu tego mydła, musi być w dobrym gatunku.

1 kg. topionego tłuszczu zalewa się 2 dk. sody żrącej, rozpuszczonej w 40 dk. gotowanej miękkiej wody (najlepiej deszczówki) i 5 dk. spirytusu do picia i miesza doskonale. Gdy masa zupełnie przystygnie, wlewa się do niej 1 l. spirytusu i pół litra wody, stawia się na ogniu, podgrzewa do momentu, gdy masa się wzniesie, poczem odstawia, wysypuje się 1 kg. sody oczyszczonej, miesza się doskonale, raz jeszcze podgrzewa i dodaje pół kg. kałafonii. Trzyma się tylko tak długo na ogniu, aż się wszystko doskonale rozpuści, nie tworząc jednolitej masy.

Pamiętać należy, iż para ze spirytusu, która się unosi nad naczyniami, jest łatwo zapalna, więc należy przy gotowaniu tego mydła strzec się pożaru.

Marja Lepkowska.

WODA

To, czem woda jest w życiu codziennym, daje się najlepiej odczuć, jeżeli „zamkną” nam ją w mieście, chociażby na krótką chwilę, albo nie dowiozą na wsi, gdzie tylokrotnie beczka zaprzężona w spensjonowanego „braka” pełni funkcje odpowiedzialnych wodo-

ciągów miejskich. Jeżeli już żyjemy w doskonale przewietrzanych pokojach, które przeciąg apoteozowany, i słusznie, przez panie domu Angielki, oczyścił z zużytego powietrza, jeżeli śpimy w łózkach kulturalnie traktowanych, doceniemy należycie dobrodziejstwo wody.

Nato, żeby „mycie” było dostateczne i racjonalne, musi swój punkt ciężkości przenieść na godziny wieczorne, przed udaniem się na spoczynek. Wtedy zmywamy całe ciało, zwilżając je ciepłą wodą, myjąc energicznie mydłem zapomocą szczotki i spłókując obficie czystą wodą.

To „spłókanie” czystą wodą jest nieodzowne, obowiązuje nie tylko przy myciu w pozycji stojącej, ale i przy kąpeli. Inaczej *oczyszczenie skóry nie będzie całkowite i dostateczne.*

Idealnym, rozkosznym systemem byłoby móc i rano, po wstaniu z łóżka zaaplikować sobie ciepły prysznic, spłókujący ciało z potu nocnego, ale na to nie każdy już ma czas i nie każdy zresztą posiada odpowiednie urządzenia. To też w większej ilości wypadków „odświeżamy” się rano, myjąc się porządnie, ale już nie tak podstawowo.

Jama ustna i ręce nie zadawalniają się wieczornymi i rannymi zabiegami. Usta i gardło płókać trzeba rano, wieczorem i po każdym jedzeniu, a zęby myć solidnie rano i wieczorem. Ręce, te biedne ręce, stykające się bezustannie z kurzem, brudem i bakterjami, trzeba myć, myć i jeszcze raz myć, nie omijając żadnej okazyj.

Dlatego też każda kuchnia powinna być wyposażona w urządzenia, ułatwiające osobie gotującej utrzymanie rąk w należytej czystości. Miednica, mydelniczka, szczotka i czysty ręcznik, a nie: zlew, ciśnięty gdzieś w przygodnym kącie kawałek umorusanego mydła i przygodnie schwycona ścierka od porcelany, szkła, czy rondli. Jeżeli już mówimy o ścierkach, to i one są wielokrotnie urągowiskiem higieny. Poniewierają się po kątach; stykają się z zastawą stołową, już ostatecznie zużyte, rzadko kiedy wędrują do specjalnego schowka (w oczekiwaniu na pranie), a daleko częściej bywają „wtykane” po kątach i wyciągane stamtąd w stanie, na który lepiej przymknąć krytyczne oczy.

Obrzydliwość *złe ujętej* ścierki (a dobre ujęcie jakże trudno wywalczyć u naszych pomocnic domowych!) znika z powierzchni życia codziennego w gospodarstwach, wyposażonych w suszarki, ale nie wszystkie niestety posiadają to idealne urządzenie.



Kiedy już jesteśmy w kuchni, poświęćmy słów kilka czajnikom. Czajnik ustawiony na odkrytej powierzchni imbryka, w którym gotuje się woda na herbatę, musi oddać wodzie to wszystko, co osiadło na jego powierzchni. Nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać służącej, która pod tym względem doceniłaby nasze zarządzenia. A zarządzenia te jakże są proste!

Czajnik utrzymany w nienaganej czystości, czajnik nie stawiany nigdy wprost na kuchence gazowej, płycie kuchennej, a zawsze na specjalnym, przydzielonym mu spodku, który powinien znajdować się w pobliżu imbryka z wodą, gdy przyrządzamy i nalewamy herbatę. Na tym samym spodku położymy wierzch od imbryka, nie stawiając go na zatłuszczonej, zakopconej, a zawsze, nawet przy najstaranniejszym utrzymaniu, nie zupełnie czystej płycie kuchennej, czy kuchence gazowej.

Nie wszystko można myć tak solidnie, jak ręce i naczynia. Wiele produktów musi się obejść bez tego powierzchniowego oczyszczenia. To też trzeba dbać o to, aby nie stały odkryte, nie były narażone na ciągły kontakt z kurzem, z kopciem, padającym tak obficie przez otwarte okna, lufciki i górne okna, wreszcie z bakterjami, unoszącymi się stale w powietrzu.

Najbardziej pod tym względem upośledzone są „resztki”. A bagatelizować ich nie można, bo jakże często taka *skromna reszotka* dostarcza nam materiału do smacznej przystawki, urozmaicającej jadłospis obiadowy.

Otóż te resztki zwykle traktujemy po macoszu, składając je byle jak i umieszczając byle gdzie, np. w dusznym ciepłe kuchni, albo w bardziej jeszcze zaduszonej szafie, czy kredensie, zamiedlając przytem osłonięcia ich powierzchni.

Poważnym zderzeniem z racjonalnym ujęciem higieny życia powszedniego są też i zwierzęta domowe, wylizujące rondle i patelnie, spożywające resztki z talerzy, „całujące” w przystępie rozczulenia ręce starszych i buziaki dzieci.

Nie obniży to bynajmniej skali sentymentu, jaki mamy dla naszych najwierniejszych przyjaciół, jeżeli przyuczymy przeciw jakimś granicom wspólnocie, jaka zwykle wyraża się z czulego ujęcia psiej, czy

kociej sprawy. Zresztą w stosunku do zwierząt domowych grzeszymy nie tylko bagatelizowaniem własnego zdrowia (wiadomo, że z niepotrzebnie brawurowego kontaktu z psim językiem powstaje wiele chorób), ale i bagatelizowaniem ich elementarnych potrzeb. Bytowanie psa (koty dają sobie łatwiej radę z osobistą higieną), hodowanego w mieszkaniu, odbiega zazwyczaj od elementarnych wskazań higienicznych.

Rzadko spotyka się dobrze utrzymane i racjonalnie pomyślane psy legowisko; rzadko widzi się psa czesanego, szczotkowanego, mytego często, wyprowadzanego codziennie na dalszy spacer i pielęgnowanego z punktu widzenia zdrowotnego w sposób racjonalny. Lecz go się wtedy, kiedy jest dotknięty objawami jakiegoś ciężkiego niedomagania, a żywi, jak popadnie.

Tymczasem zwierzę, pozostające pod naszą opieką ma *prawo do naszej opieki*, ujętej uczciwie i sumiennie. Musimy znać jego potrzeby, musimy liczyć się z niemi, musimy ująć „miłość do zwierzęcia” jeszcze i z innego punktu widzenia, niż tkliwe dzielenie się z niem w każdej porze dnia własnymi posiłkami i to najczęściej, przynoszącemu szkodę jego psiemu, a zatem odmiennemu od naszego, organizmowi.

Mówiąc o konfliktach, trudno mi pominąć sprawę *ubrania*. Ubrania ciepłego, to znaczy nie lekkiej, jasnej, letniej sukienki, która samorzutnie dopomina się o pranie, ale ubrania wełnianego, ciemnego.

Kto nie odczuwa żywiołowej potrzeby częstego prania takich ubrań i sukien, niech spróbuje nosić suknię jasną tyle czasu bez prania, ile czasu nosi ciemną wełnianą, czy jedwabną, a przemówi ona do niego argumentami tak żywotnymi, że napewno zmieni system i uwierzy, iż tkaniny ciemne, aczkolwiek daleko dyskretniejsze od jasnych, nie są ani trochę na brud odporniejsze.

Wanda Dobrzańska.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

GRZYBY.

W kuchni postnej grzyby suszone są niewyczerpanym materiałem *zasadniczym* i *dodatkovym* do wielu smacznych, wykwintnych potraw i sosów.

GRZYBY SUSZONE W ŚMIETANIE, JAK ŚWIEŻE.

Dowolną ilość grzybów suszonych w najwyższym gatunku (borowików) z białymi spodami umyć czysto w kilku wodach, oddzielić same główki i namoczyć je na noc w letnim, przegotowanym mle-

ku, dając go tyle, aby całkowicie grzyby pokryło.

Na drugi dzień wyjąć z mleka, a gdyby nie dały się jeszcze krajać, podgotować chwilę w króciutkiej wodzie. Poszatковать grzyby w cienkie paseczki, skrajać dużo cebuli również w cienkie paski, podusić ją w maśle, włożyć grzyby i, podlewając smakiem, w którym się gotowały, dusić pod przykryciem, na bardzo wolnym ogniu około godziny. Oprószyć powierzchnię mąką, podlać wyborową śmietaną kwaśną, posolić do smaku, dodać odrobinę białego pieprzu mielonego, wymieszać. Jeszcze chwilę dusić i podać, jako garnitur do mięsa, albo też, jako samoistne danie.

GRZYBY SMAŻONE W KLARZE.

Wyjąć grzyby ze smaku, jaki gotował się na zupę, odjąć główki (korzonki skrajać do zupy), osączyć i wytrzeć do sucha płócienną ściereczką. Przygotować klar, biorąc: na każde jajko 2 łyżki kwaśnej śmietany i tyle mąki, aby ciasto było gęściejsze, niż na naleśniki. Wyrobić doskonale łyżką drewnianą, dodać na czubek noża proszku do pieczenia „Luba”, a klar będzie pulchny i delikatny.

Przygotowane do osmażania główki grzybów oprószyć mąką krupczatką, brać na widelec, maczać w klarze i kłaść na obfity, rozgrzany tłuszcz. Powinny w nim pływać, jak pączki. Smażyć na złoty kolor. Podawać bardzo gorące, najlepiej wprost z patelni, z tartym chrzanem.

Grzyby takie można też panierować, to znaczy: oprószyć mąką, umaczać w rozbitym jajku, skrzyżyć w tartej bułeczce. Dalej postępować, jak wyżej.

KOTLETY Z SUSZONYCH GRZYBÓW.

15 dkg. grzybów suszonych prawdziwych wymyć w kilku wodach. Ugotować. Osączyć, odcisnąć ze smaku, skrócić przez maszynkę razem z dwiema namoczonymi w mleku i doskonale odcisniętymi bułkami. Uduścić w maśle pół cukrowej cebuli, jak najdrobniej posiekanej, albo utartej na tarce, włożyć w nią masę grzybową i podgrzewać chwilę na ogniu, stale mieszając. Zdjąć z ognia, wystudzić. W zimną masę wbić dwa całe jaja, posolić i popieprzyć do smaku, dodać siekanej drobniotki natki od pietruszki, doskonale wyrobić. Formować kotleciki, skrzyżyć w maśle, maczać w rozbitym jajku, osypać tartą bułeczką. Smażyć, jak kotlety siekane, to znaczy kłaść na sklarowane, ale nie rumiane masło i smażyć na średnim ogniu, aż do zrumienienia. Podawać do kotlecików sos beszamel i kaszkę krakowską na sypko.

BUDYŃ Z GRZYBÓW SUSZONYCH.

Proporcja: 12 grzybów suszonych średniej wielkości, 1 cebula, 10 dkg. masła, 4 jaja, 2 bułki namoczone w mleku, 4 łyżki gęstej kwaśnej śmietany, siekana zielenina. Masło i bułeczka tarta do formy.

Ugotować grzybki, osączyć, posiekać. Uduścić drobniotko siekaną cebulę z 5 dkg. masła, włożyć w nią grzybki, wymieszać, wystudzić. Namoczyć dwie bułki w mleku, gdy zmiękną, mocno odcisnąć. Rozetrzeć na misce 5 dkg. masła deserowego z czterema żółtkami, dodając stopniowo od-

ciśniętą bulkę. Gdy masa zrobi się gładką i pulchną, dodawać grzybki, śmietaną, siekaną zieleninę, sól i odrobinę pieprzu. Doskonale wyrobić. Ubić sztywną pianę z pozostałych białek, dodać ją do masy, lekko wymieszać, włożyć budyń do formy budyniowej, napełniając ją najwyżej w 2/3, bo w gotowaniu masa wyrasta. Gotować w szalenie zamkniętej formie, na parze, godzinę. Podać oddzielnie w sosjerce masło klarowane, albo sos grzybowy, zaprawiony kwaśną śmietaną.

SÓS GRZYBOWY.

Proporcja na 6 osób: 5 dkg. grzybków prawdziwych, suszonych, 1/2 cebuli cukrowej średniej wielkości, 5 dkg. masła, 1/4 litra śmietany, łyżka mąki pszennej.

Ugotować grzybki w krótkim smaku. Wyjąć, przestudzić, pokrajać w cienkie paseczki. Uduścić w maśle drobno krajaną cebulę, przesmażyć, nie rumieniąc, z mąką. Rozprowadzić smakiem, w którym się gotowały, dodać połowę śmietany, wymieszać. Zagotować, wrzucić grzybki. Wstawić rondel z sosem w gorącą wodę, przykryć, a na samem wydaniu dodać resztę śmietany, wymieszać i wlać w wyparzoną wrzątkiem sosjerkę.

LEGUMINA Z KASZKI PSZENNEJ NA ZIMNO Z SOSEM WANILJOWYM.

Proporcja na 6 osób: litr mleka, 6 jajek, 1/4 laski wanilji, 8 łyżek cukru kryształu, 1 dkg. gorzkich migdałów utartych na tarce, 3/4 szklanki kaszki manny (pszennej).

Zagotować na wolnym ogniu litr mleka z cukrem i drobniotką skrajaną wanilją. Pozostawić 1/2 godziny pod przykryciem, żeby mleko doskonale przeszło zapachem. Przecedzić, zagotować powtórnie, wrzucić tartę migdały i w gotujące mleko sypać powoli kaszkę, mieszając, aby się nie zbiła w grudki. Gotować kaszkę na wolnym ogniu, stale mieszając, dopóki nie złączą się formować bąble. Wtedy wlać dwa żółtka, rozbite z dwiema łyżkami mleka, doskonale wymieszać i dodawać, na ogniu, pianę z 6 białek, mieszając energicznie od spodu.

Ułożyć kaszkę w formie, wypłókaną zimną wodą i wyprószonej cukrem. Postawić w zimnie na kilka godzin.

SÓS WANILJOWY.

Proporcja: 4 żółtka (pozostałe od leguminy), 4 czubate łyżki cukru, 1/4 laski sproszkowanej wanilji, czubatą łyżeczkę od herbaty mąki pszennej, albo pół łyżeczki mąki kartoflanej, szklanka mleka, albo szklanka śmietanki.

Ubić żółtka z cukrem i wanilją do białości (powinno ich przybyć drugie tyle). W ubite wsypać mąkę, wymieszać doskonale i wlewać po łyżce wrzącej śmietanki, albo wrzące mleko. Wymieszać. Kamienny garnuszek z kremem wstawić w rondel z gorącą wodą i podgrzewać na ogniu, mieszając krem bezustannie, dopóki nie zgęstnieje. W czasie studzenia ubijać go kilkakrotnie łyżką drewnianą, aby równo zastygł. Doskonale wystudzić, podać oddzielnie w sosjerce. Kaszkę po wyjęciu z formy przybrać konfiturami z malin, albo z wisien, osączonymi z syropu. *Melba*.

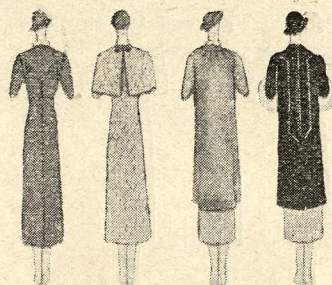


4 B.

Kostjum z ciemnej wełny, przybrany stebnowaniem.

Palto z angielskiego materiału.

Forma bibulkowa 4 B.



Półdługie palto z jasnej wełny.

Forma bibulkowa 5 B.

Długi zakiel z aksamitu, przybrany futrem.



5 B.

Kostjum z jasnej welny, przybrany sukmem do cieniu.

Forma bibulkowa 6 B.

Kostjum z welny przerabianej.

Forma bibulkowa 7 B.

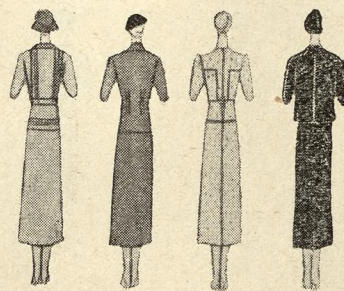


6 B.

7 B.

Suknia na ulicę z welny w drobne groszki.

Kostjum wełniany lub aksamitny.





Suknia poranna z satin w dwóch odcieniach niebieskiego.

Nocna koszula z płótna jedwabnego, przybrana plisami.

Szlafrok z deseniowego kretonu, przybrany kieszeniami.
Forma bibułkowa 8 B.

Szlafrok z flory, przybrany kolorowym sznurem.
Forma bibułkowa 9 B.



10 B.

11 B.



12 B.

Piżama z materiału w pasy.

Domowa suknia z materiału deseniowego i gładkiego. Forma bibulkowa 10 B.

*Suknia domowa z materiału w pasy.
Forma bibulkowa 11 B.*

*Piżama z lekkiej wlny w dwóch cieniach.
Forma bibulkowa 12 B.*

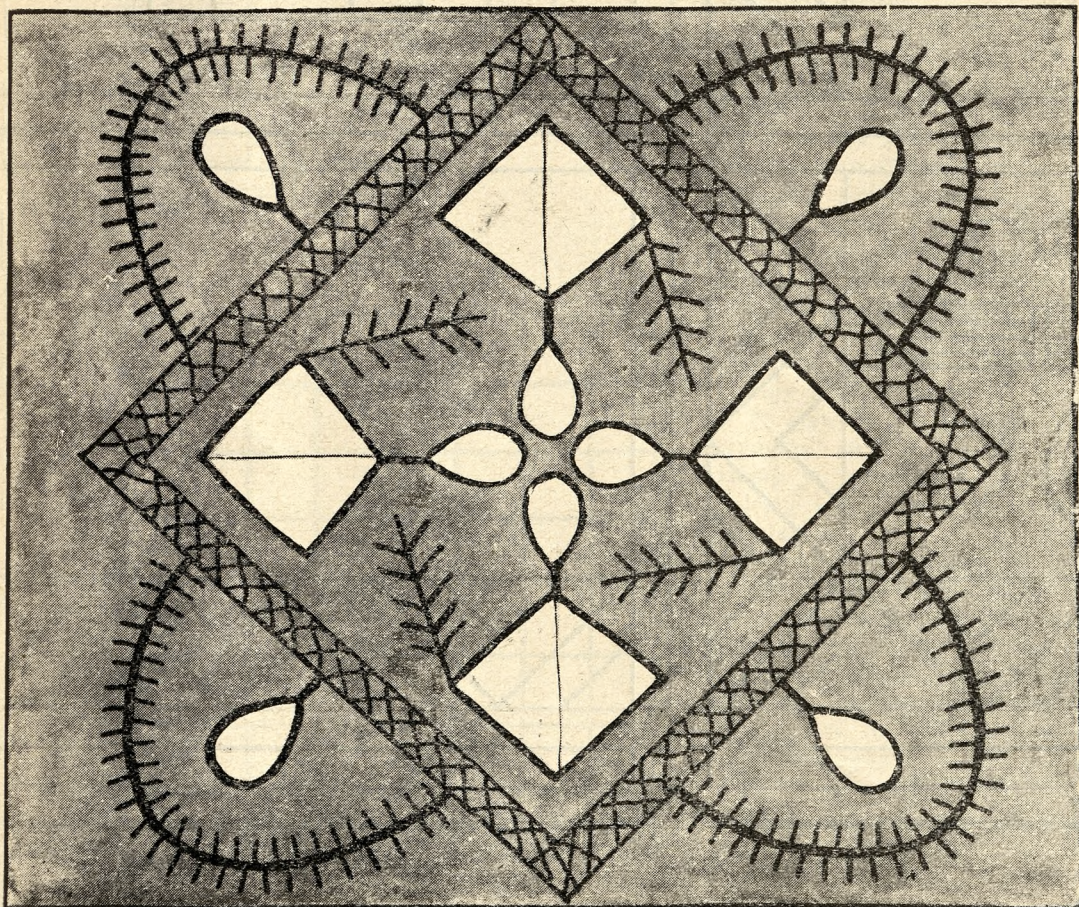
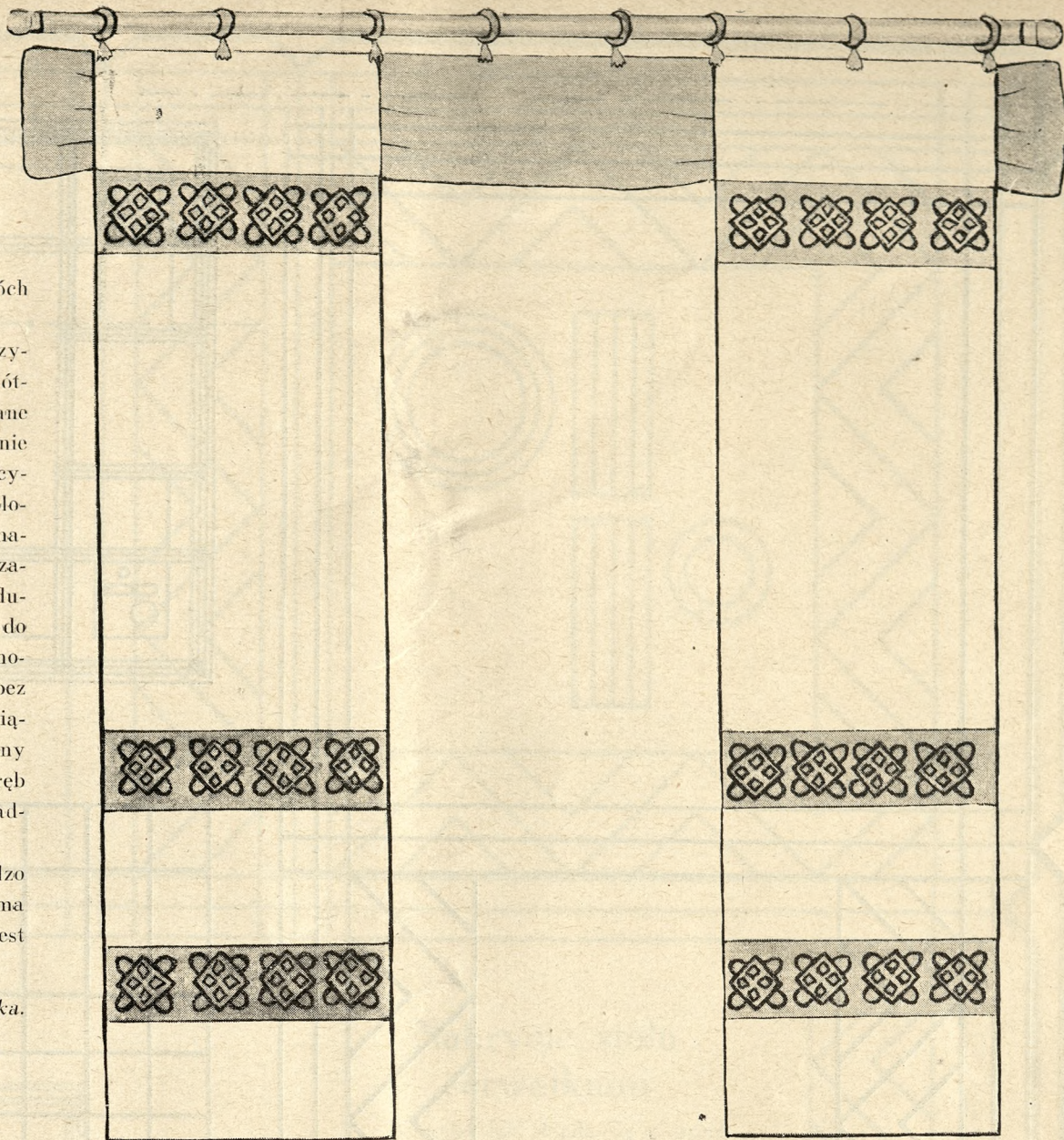
Portjera

Portjera z płótna w dwóch kolorach.

Boki portjery szare, naszywane w pasy z zielonego płótna. Pasy te są zahaftowane kolorem szarym, znacznie ciemniejszym od płótna i cytrynowym. Rozłożenie kolorów podane na rysunku naturalnej wielkości. Boki zakończone u góry i u dołu dużym obrębem, sięgającym do aplikacji. Górę portjery stanowi pas płótna zielonego bez haftu. Płótno zielone przeciągnięte jest przez obręb górny w obu bokach. Duży obręb w dole przez swój ciężar ładnie obciąża portjere.

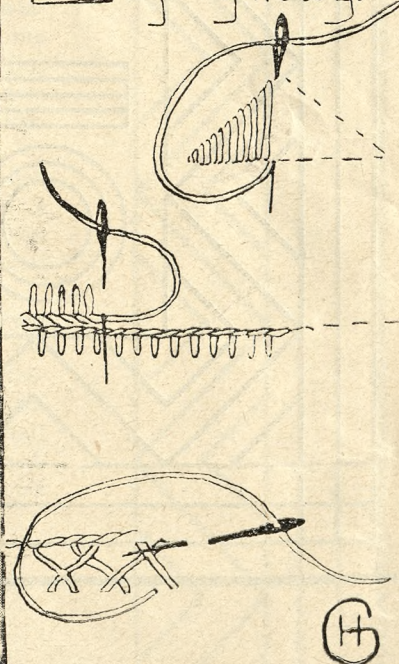
Całość wygląda bardzo efektownie. Robota ta ma dwie wielkie zalety: nie jest kosztowna ani pracowita.

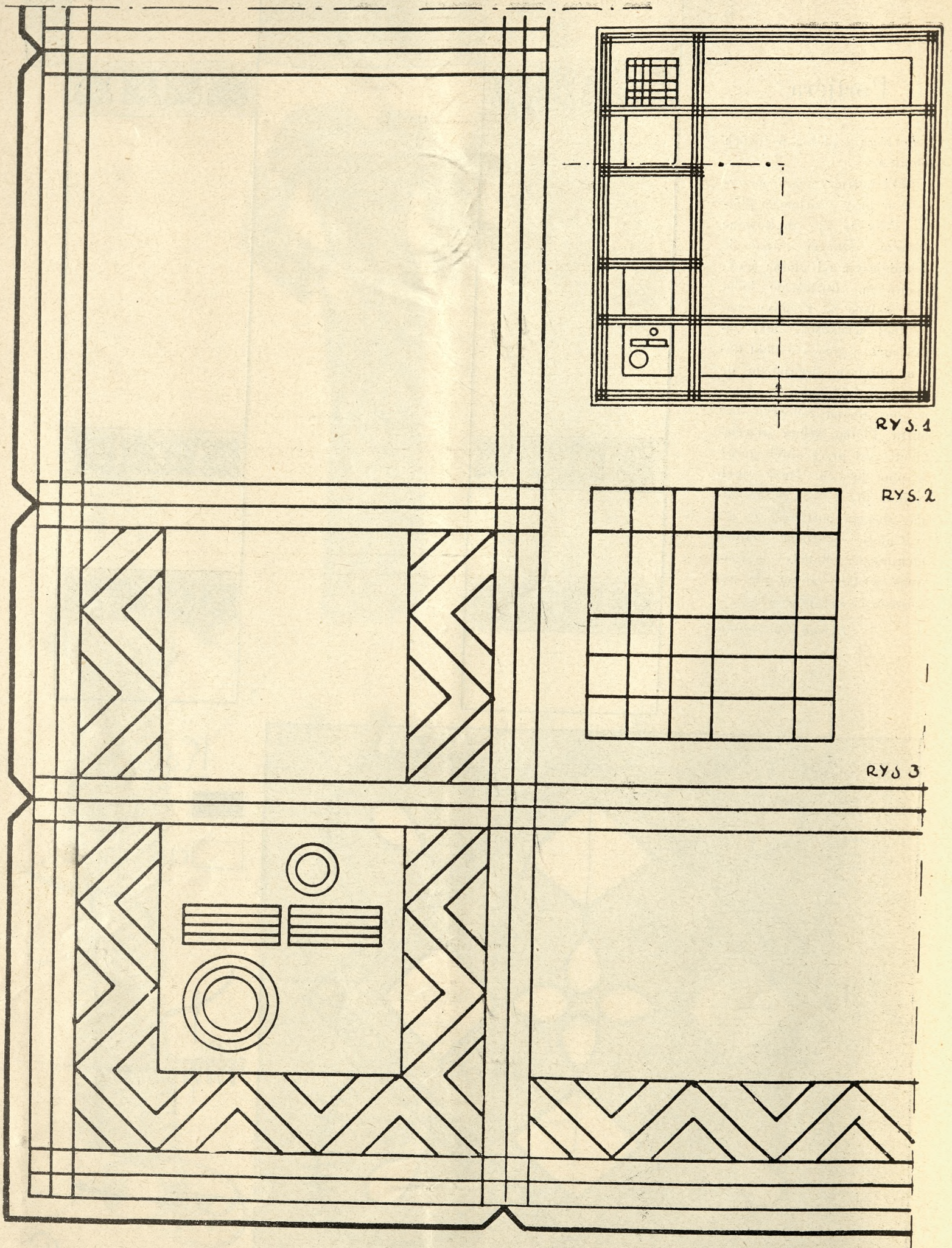
Helena Gamrońska.



Kolorы

■ szary.
□ cytrynowy.





RYS. 1

RYS. 2

RYS. 3

Nakrycie stołu serwetkami

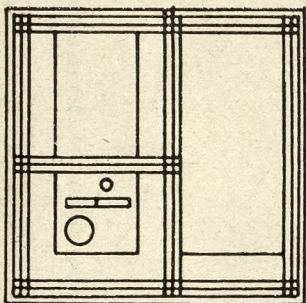
Komplet ten składa się z trzech rodzajów serwet:

1) serwety na środek stołu, wymiaru 39 na 58,5 cm., czwarta część tej serwety przedstawiona jest na rys. 6.

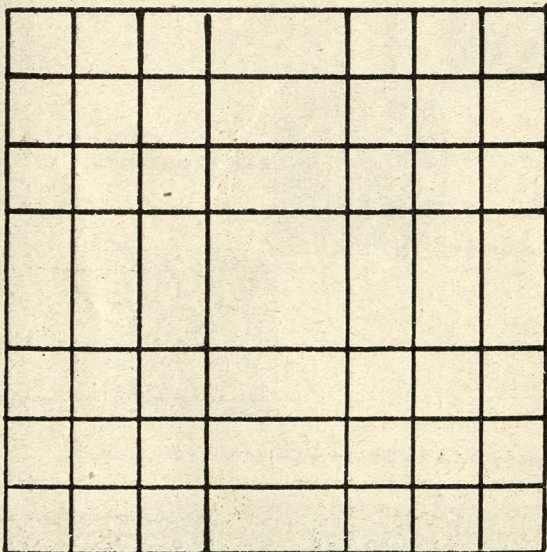
2) serwety pod właściwe nakrycie, wymiaru 25 × 41 cm. Na rys. 1 pokazany jest schemat tej serwety, na rys. 3 część jej w naturalnej wielkości; na serwecie tej ustawiamy talerz, na środku przed nim jest miejsce na kieliszek większy, z dwóch jego stron — na dwa mniejsze, po bokach talerza kładziemy noże, widelce i łyżki.

3) serwetki do wycierania ust, wymiaru 20 × 20 cm. Na rys. 4 mamy jej schemat, a rys. 5 zastosujemy i tu jako część wielkości naturalnej.

W jednym narożniku serwet znajduje się monogram A. R., w pozostałe narożniki wstawimy odpowiednio rys. 2 i 5. Serwetki wykonane są z kolorowego płótna, haft ścięciem „pocztowym” białą bawełną mouliné Nr. 14; brzeg serwetek jest obdziergany.

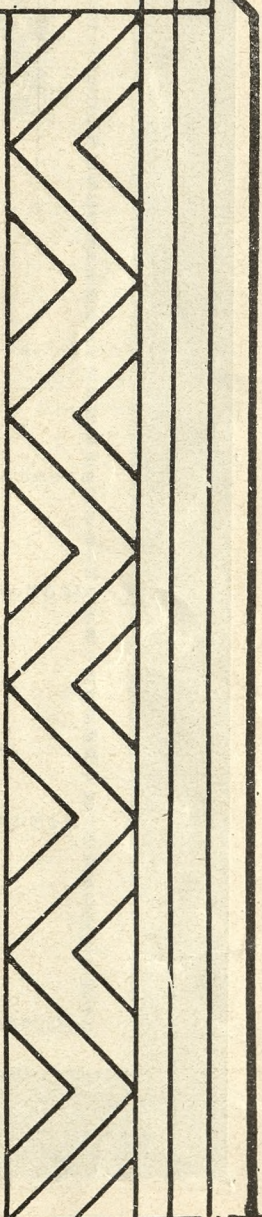
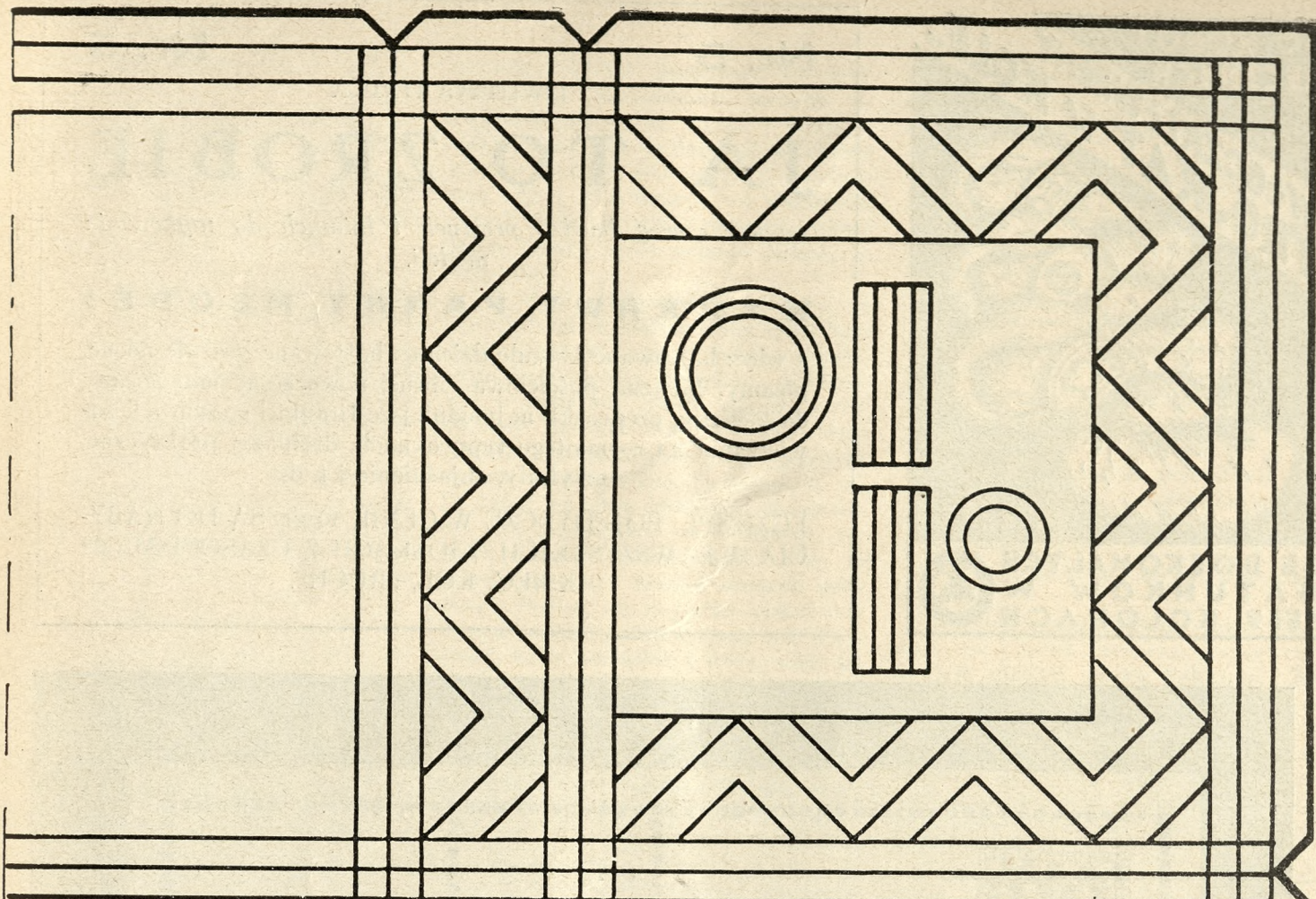


RYŚ 4



RYŚ 5

RYŚ 6



DO ROBÓT
RĘCZNYCH

WŁÓCZKI I WEŁNY
„TRÓJKAT W KOLE”



35 DOSKONAŁYCH
GATUNKÓW W
1539 KOLORACH



Nr. 5

Nr. 5

DWUTYGODNIKA

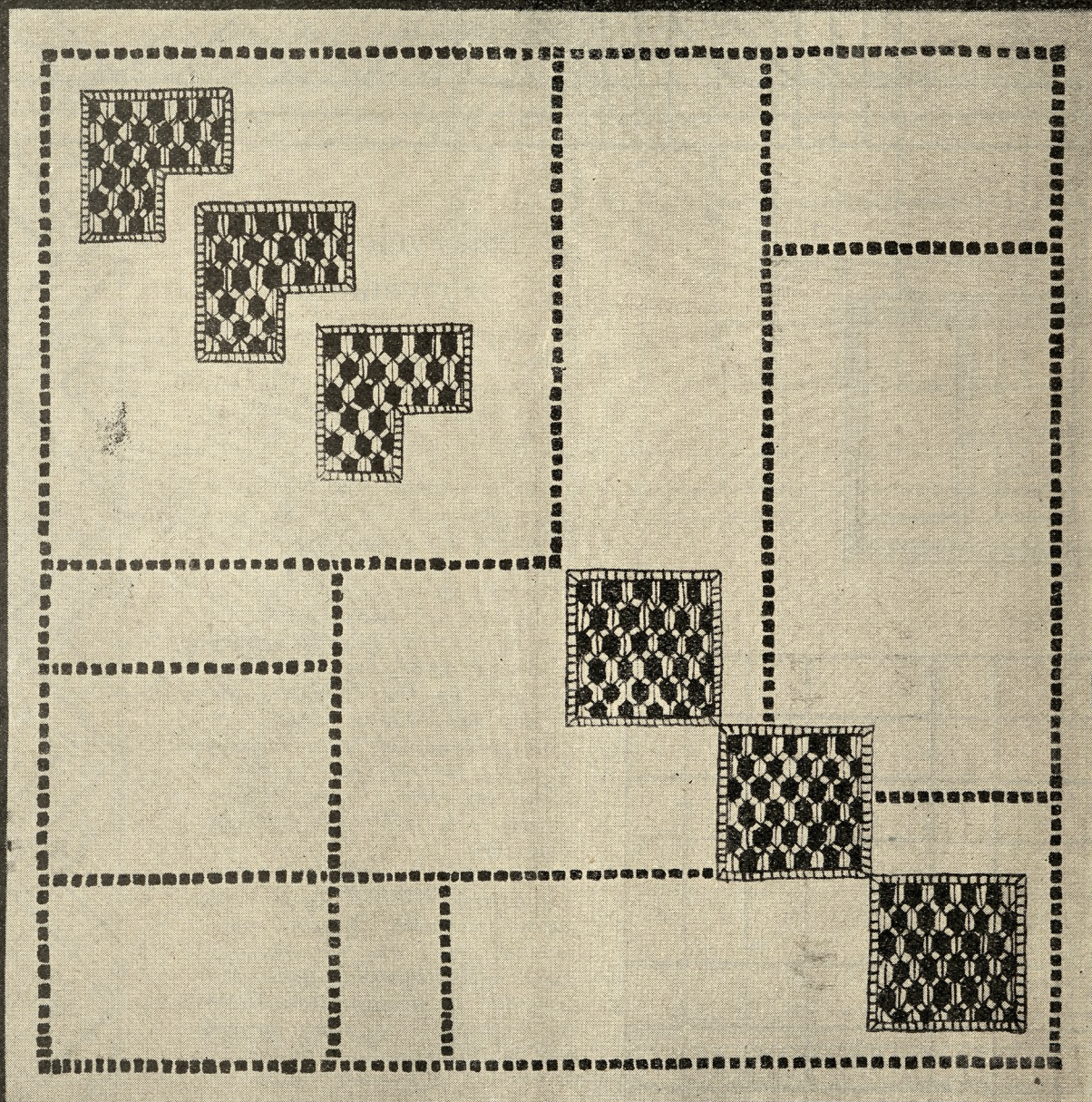
JA TO ZROBIĘ

zawiera szereg bardzo prostych i łatwych do wykonania modeli.

WYPRAWY PANNY MŁODEJ

a więc: haftowane koszule dzienne, haftowane koszule nocne, piżamy, bielizna pościelowa, obrus, nowoczesne monogramy do bielizny, czepeczki, najmodniejsze firanki i sposób ich zawieszania na rozmaitego typu oknach, drobiazgi praktyczne, artykuły, objaśnienia i t. d.

EGZEMPL. POJEDYŃCZE W CENIE 50 gr. SĄ DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KIOSKACH Z CZASOPISMAMI KSIĘG. KOL. „RUCH”.



Serwetka na różowym płótnie, białym haftowana,

CF

POPIERAJMY PRZEMYSŁ LUDOWY.

— Jak odbywa się poszukiwanie nowych źródeł zabytków sztuki, czy przemysłu ludowego?

Czy w tej dziedzinie istnieje przy obecnej naszej znajomości polskiej sztuki ludowej pole do nowych odkryć.

Bo my, szary tłum, laików, nie bardzo wiemy, co pod określenie: „Polska sztuka ludowa” podciągać należy prócz kilimów łowickich, gontami krytych podhalańskich chat, „cudeńków” struganych przez naszych górali i od niedawna bodajże znanej ceramiki i wyrobów łućskich.

— A więc najpierw o tem, jak się odbywa poszukiwanie? Właściwie to sprawa dość skomplikowana. Gdzie należy rozpocząć poszukiwania, w jakie tereny specjalnie warto wkładać starania, to kwestja dużego doświadczenia i intuicji. Praca nasza odbywa się pod kierunkiem znawców etnologji. Każdy nowoodkryty okaz jest przez nich oceniany i badany, czy można uważać go za zabytek sztuki ludowej, odpowiadający tradycjom danych okolic, czy też jest to chociażby najbardziej artystyczny twór pomysłowości indywidualnej.

W Polsce mamy bowiem obecnie bardzo rozwiniętą fabrykację „autentycznych” zabytków sztuki ludowej, wytwarzanych masowo, w których odnaleźć można mieszaninę motywów greckich, arabskich bodaj — wszystko to razem spreparowane à la hucul lub à cracovien.

Wytwory te sprzedawane masowo, nabywane zwłaszcza chętnie przez cudzoziemców, zupełnie na sztuce ludowej polskiej się nie znających, nie mają też nic z tą sztuką wspólnego.

Trzeba to zwalczyć, usunąć fałszywych naśladowców — ignorantów, usunąć pośredników.

Do źródeł inną trzeba zmierzać drogą, waleśać się po jarmarkach, chatach, szperać po miłych prymitywnych warsztatkach artystów z bożej łaski, którzy po ojcach i dziadach talenty swe odziedziczyli.

Rdzeniem sztuki ludowej jest tradycja, ona rozstrzyga o charakterze sztuki poszczególnych dzielnic. Sztuka ludowa danej dzielnicy oparta jest i wyrosła z warunków naturalnych i klimatycznych — Wileńszczyzna słynie z pięknych tkanin, bo to ziemia w len zasobna. Chlubą Podhala jest jego snycerstwo i rzeźba w drzewie, gdzie bowiem więcej niż tam lasów i drzewa do wyrobów snycerskich sposobnego.

Ciekawe, że tradycja działa nawet wówczas, gdy warunki naturalne, wpływające na rozwój danej produkcji, się zmieniają. Wtedy, rzecz prosta, mniejsza jest opłacalność produkcji (materiał wytwórca musi sprowadzać z odległych niekiedy stron). Tak np. wyroby pochodzące z Ojcowia wykonane są przez górali tamtejszych z drzewa, sprowadzanego z Olkusza, dawniej w Ojcowie drzew było pod dostatkiem.

Jeśli chodzi o opłacalność produkcji

ludowej, jeśli już poruszamy ten pozartystyczny, ekonomiczny moment, to stwierdzić należy, że sztuka i przemysł ludowy może stać się doskonałym źródłem zarobku naszych wieśniaków i wieśniaczek. Dziś już istnieją we wszystkich niemal okolicach kraju artyści ludowi, którzy czerpią wcale pokaźne dochody ze swej sztuki.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że dużo pod tym względem dalby rynek krajowy, gdyby konsumenci polscy, a zwłaszcza konsumentki zechciały zrezygnować z wątpliwej często wartości artystycznej (jedynie dostępnej dziś ceną) tandety zagranicznej na rzecz pięknych okazów sztuki polskiej. Zwłaszcza, że cały szereg wyrobów ludowych dostosowany jest najzupełniej do obecnych nowych prądów dekoracyjnych. Czy to przesłizne okazy czarnej ceramiki polskiej z Prużan, czy to bardzo piękne tkaniny wileńskie, czy też wreszcie mile w ryunku hafty podolskie i wiele, wiele innych, mogłyby stać się ozdobą każdego współczesnego wnętrza.

Najważniejsze, że najlepszą reklamą ich stanowi cena, naprawdę umiarkowana. Niezależnie od możliwości sprzedaży w kraju szerokie pole dla przemysłu ludowego otwiera eksport. Już obecnie eksportujemy wyroby ludowe do Holandji i Francji. Polski przemysł ludowy wszędzie zagranicą mogłyby znaleźć nabywców. Dowodzi tego choćby to, jak chętnie nabywane są wszelakie jego falsyfikaty. Najważniejszą sprawą jest tu właściwe zorganizowanie produkcji, otwarcie magazynów, w których można nabywać nabyte u wytwórców wyroby, wówczas dopiero możnaby przyjmować masowo zamówienia zagraniczne. Oparcie się na producencie-chalupniku, który jest nieodpowiedzialny, zresztą jak każdy artysta pracuje wtedy, gdy mu przyjdzie natchnienie, mogłoby zepsuć reputację polskiego handlu wyrobami ludowymi zagranicą.

Wielkie możliwości, które posiada polski przemysł ludowy, dowodzą, że sztuka i przemysł ludowy stanowią jeden z poważnych sposobów rozwijania doniosłego problemu: zatrudnienia wsi. Nawet najdrobniejsze wpływy gotówkowe stanowią poważną pozycję obecnego, skurczonego budżetu drobnego gospodarstwa.

Pod tym kątem widzenia sprawa po-

SIĘDEM ŻON SINOBRODEGO.

Już 6 marca w Teatrze Wielkim. Ale co? Przepiękna pantomina Pawlikowskiej i Obertyńskiej: „7 żon Sinobrodego”. I któż występuje? Najpiękniejsze panie Warszawy. A kto reżyseruje? Ordyński. Układ taneczny? Mieczysława. Dyryguje orkiestrą — Anna Kitschman.

Ale nie zaspakajamy przed czasem ciekawości. Całość jest cudowna a cel naprawdę godny poparcia — ufundowanie samolotu na Challenge 1954, którą tą akcją opiekuje się p. Marszałkowa Piłsudska. Któżby nie poszedł do Teatru Wielkiego 6 marca?

pierania przemysłu ludowego musi się znaleźć w rzędzie tych środków, które ożywią nasze gospodarstwo.

MARINETTI — KUCHARZEM.

Podobno Marinetti, apostoł futuryzmu, marzy o rewolucji gastronomicznej tak, jak tego dokonał w dziedzinie literatury i sztuki.

Oto jedno z ostatnich „menus” jego futurystycznej kuchni: Architektura gastronomiczna; Scena powietrzno-węchowa; Jadalne meteory; Synteza astralna; Partytura smaków; Wielotrunek uderzający; Powietrzno-pokarm niespodzianka.

Również oryginalnie przedstawia się obiad astronomiczny: zoologiczna zupa, goździki na rożnie, intuicyjne zakąski, ciastka elastyczne.

Pomysł Marinetti’ego nie jest jednak nowością.

Już przed wojną Francuz, Jules Maincare, syn i wnuk kucharza, pragnął całkowicie odnowić prawa kulinarne. Na froncie, jako kucharz pułkowy, fabrykował smaczne śiekanki z traw, zebranych na okopach, potrawy z sera na winie oraz befsztyki atakowe. Maincare został zabity przez wybuch kuchennego kotła. Zgon zaiste bohaterki i wielce kulinarnej!

— Oliwa, połączona z octem, tworzy sos klasyczny — powiadał — dlaczego więc zmieszanie rumu oraz sosu z wieprzowiny ma być pomysłem heretyckim? Współczesny rozwój chemji pozwala bezpiecznie łączyć wszelkie zapachy: bez, fiołki i konwalje...

Mojem zdaniem, wołowina na kmin-kówce, przybrana drażonemi bananami, nadzianami serem szwajcarskim, jest również wyśmienita, jak potrawka z sardynek na serze z Camembert, lub kotlet z miętą.

Poeta Guillaume Appolinaire skomponował przed ćwierćwiekiem menus futurystyczne, zawierające pieczone kwiczoły w sosie lukrecjowym, wołową pieczeń z tabakę, salatkę, zaprawioną kolońską wodą oraz omlet na sardelowym maśle.

Marinetti nie jest pierwszy w dziedzinie ekscentrycznych pomysłów kulinarnych.

MIĘDZYNARODOWE DNI AKADEMICZEK W PARYŻU.

„Pax Romana” i Zjednoczenie francuskich stowarzyszeń katolickich akademicek zorganizowany w Paryżu w dn. 4—6 ub. m. Międzynarodowe dni studentek katolickich. Dyskusja toczyła się nad trzema zasadniczymi referatami: W jakich warunkach studentka może wypełniać swoje zadania socjalne w pracy zawodowej i jako mężatka? Czynniki wychowawcze, które studentka znaleźć może poza stowarzyszeniem; Jak powinno być zorganizowane stowarzyszenie akademicek dla wypełnienia swych zadań z punktu widzenia religijnego, socjalnego i kulturalnego? Następnego dnia 7 ub. m. odbyło się zebranie Zjednoczenia dla zdania sprawy z działalności poszczególnych stowarzyszeń akademicek we Francji i dla przygotowania pielgrzymki do Rzymu.

80
groszy

RAKIETA

Miesięczny magazyn bogato ilustrowany. Nauka, wiedza, wynalazki, sport, teatr, sztuka, nowela, humoreska, film, konkursy, nagrody. 48 stron druku.

RAKIETA

80
groszy